

IGNACY HRYNIEWIECKI.

Krótkiem było życie Hryniewieckiego. Był on człowiekiem niezmiernie skromnym, cichym i mimo swe wybitne zdolności nigdy nie wysuwał się naprzód. Stąd też o życiu jego doszły nas nieliczne szczegóły. Poniższe szczegóły powtarzamy za życiorysem, skreślonym przez najbliższych jego towarzyszy, a wydrukowanym w rok po jego śmierci.

Początkowo myślano, że Hryniewiecki jest rosyaninem, sam on jednak miał się za litwina, a towarzysze jego polacy nazywali go swym rodakiem. Życie i wychowanie ułożyło mu się wszakże tak, że językiem rosyjskim władał o wiele lepiej, niż polskim.

Urodził się w Mińszczyźnie w roku 1856. Rodzice jego, drobni posiadacze ziemscy, cieszyli się opinią ludzi niezmiernie uczciwych oraz sąsiadów jak najlepszych. Około roku 1860 cała rodzina, składająca się z jedenastu osób, przeniosła się do gubernii grodzieńskiej i osiadła

w wiosce rodzinnej Hryniewicze. Posiadłość ich nie przenosiła 4 czy 5 włók, to też cały dochód z niej zaledwie starczył na wyżywienie licznej rodziny. Wszyscy członkowie pracowali koło roli i w domu, wykonywając najcięższe roboty. Rzecz jasna, że takie życie nie pozwalało Hryniewieckim zawiązywać znajomości z szlachtą okoliczną; wszystkie ich stosunki nie wychodziły poza sferę włościańską. Dzieci włościańskie były jedynymi towarzyszami zabaw Ignacego. Skoro tylko podrósł nieco, zaczął pomagać ojcu w polu, a i potem, gdy ze szkół na wakacye do domu przybywał, cały czas swój, przeznaczony na wypoczynek, poświęcał pracy koło roli. Pomimo ciężkich warunków stary Hryniewiecki nie szczędził ofiar na kształcenie dzieci. Wplątało go to w długi lichwiarskie i w końcu doprowadziło do ruiny: w roku 1880 stracił swój kawałek ziemi. Prawie jednocześnie umarła mu żona. Biedny starzec wpadł w stan bliski obłąkania.

Ignacy początkowo kształcił się w szkole powiatowej w Bielsku, skąd w roku 1868 przeniósł się do szkoły realnej w Białymstoku. Lata szkolne przeszły mu prawie w nędzy. Dość powiedzieć, że herbata była dlań zbytkiem, na który mógł sobie pozwolić tylko w dni świąteczne. Pomimo to, pomimo że brak mu było nawet książek szkolnych, stanął odrazu w szeregu najlepszych uczniów. W nagrodę za pilność władza szkolna umieściła go w domu sierot. Dano mu tu niski i wilgotny pokoik z kratą w oknie, nadającą temu schronieniu wygląd celi więziennej. Jakie tam były obiady, łatwo sobie wyobrazić; na resztę zaś wydatków — na herbatę, cukier, światło i t. p. — miał Ignacy rs. 1 kop. 50 miesięcznie! Z tem wszystkiem była to dlań wielka pomoc, po dwóch latach jednak został jej pozbawiony. Musiał więc szukać zarobku, aby i siebie wyżywić i bratu młodszemu dopomódz, co nie było rzeczą łatwą. Mimo to wszystko udało mu się ukończyć szkołę w roku 1875.

Przez cały czas pobytu w szkole Hryniewiecki cieszył się szczególnemi sympatyami swych kolegów, dla których był bardzo uczynny. Idee rewolucyjne, które podówczas ze zdumiewającą szybkością szerzyły się wśród młodzieży, odbiły się echem i w spokojnym Białymstoku. Młodzież białostocka zbudziła się jakby do nowego życia. Młodociane umysły snuć zaczęły marzenia o przebudowaniu świata na nowych podstawach wolności, równości i braterstwa...

Jeżeli wspomnimy bliskie związki, jakie łączyły Hryniewieckiego z ludem, to łatwo zrozumiemy, jak sympatycznemi były dlań dążności, które miały na celu szczęście ludu. Chociaż nie zdawał sobie jeszcze jasno sprawy, co robić należy, jednak ogólny duch nowego kierunku stał się dlań odrazu zrozumiałym; odczuł go całą swą duszą, a oddanie się sprawie ludu stało się jego ideałem.

Po ukończeniu szkoły białostockiej Hryniewiecki wstąpił do instytutu technologicznego w Petersburgu. Zakład ten cieszył się wówczas wśród młodzieży opinią najbardziej radykalnego. Studenci korzystali w swem życiu wewnętrznem z dość znacznej swobody i przeważnie wyznawali poglądy demokratyczne. Zaburzenia roku 1874 roznio-

sły sławę instytutu po całej Rosyi, otaczając go pewną aureolą w oczach uczciwszej młodzieży.

W instytucie Hryniewiecki odrazu przejął się sprawami wrzącego życia studenckiego. Wkrótce został wydalony za udział w demonstracyi studenckiej, po pewnym czasie jednak przyjęto go z powrotem.

Ale sprawy studenckie nie mogły mu wystarczać. Jemu potrzeba było działalności politycznej, walki czynnej, poświęcenia się zupełnego sprawie ludu. Tej potrzebie jego duszy mogła uczynić zadość tylko działalność w szeregach rewolucyjnych. W początkach roku 1889 widzimy go wśród założycieli kółka socyalistycznego w Petersburgu. Członkowie tego kółka byli zdania, że sama tylko propaganda socyalizmu wśród ludu nie wystarcza, że rewolucyoniści przystąpić powinni do organizowania wśród ludu oddziałów powstańczych. Udział w tem kółku był pierwszym krokiem Hryniewieckiego w systematycznej pracy rewolucyjnej; nie mógł go wszakże odrazu prowadzić do czynów: kółko było nieliczne, a jedyną nadzieję dopełnienia swych zadań widziało w potworzeniu się z czasem większej ilości grup, wyznających taki sam program. Po półrocznej pracy okazało się jednak, że nadzieje te są zawodne. Wówczas większość członków tej organizacyi przyjęła program „Narodnej Woli". Hryniewiecki tylko wraz z niektórymi towarzyszami nie chcieli porzucić pierwotnych planów i czas jakiś probowali jeszcze działać w ich duchu. Dopiero w jesieni roku 1879 przyszedł Hryniewiecki do przekonania, że należy zwrócić działalność na inne tory. Sądził on wówczas, że partya rewolucyjna powinna dążyć przedewszystkiem do wywalczenia konstytucyi. Po niejakim czasie jednak sam uznał, że program taki jest niewystarczający, że organizacya rewolucyjna dążyć powinna do ujęcia w swe ręce władzy naczelnej w państwie; o możliwości osiągnięcia tego celu przekonany był najzupełniej. W roku 1880 całkowicie już przyjął program „Narodnej Woli".

Odtąd miał przed sobą jasno wytkniętą drogę. Całą duszą oddał się działalności rewolucyjnej. Gdy miał coś robić, wówczas między bezpiecznem a niebezpiecznem, przyjemnem a nieprzyjemnem nie znał różnicy żadnej. Wiedział on w takich razach jedno tylko: że ma powierzoną sobie sprawę załatwić, że ją załatwić trzeba — o resztę nie dbał.

Jeszcze przed wstąpieniem do „Narodnej Woli" prowadził propagandę rewolucyjną wśród swych kolegów w instytucie. Po wstąpieniu zaś do partyi prowadził dalej tę pracę jako przedstawiciel („ajent") Komitetu Wykonawczego partyi. Zadanie kółka studenckiego, którem kierował, polegało na rozpowszechnianiu wydawnictw nielegalnych, zbieraniu pieniędzy, wyszukiwaniu schronienia dla agitatorów nielegalnych, ukrywających się przed policyą, prowadzeniu kółek robotniczych i t. p. Wpływ Hryniewieckiego na kolegów był ogromny. Z charakteru cichy, skromny i małomówny, cieszył się wśród nich powszechnem poważaniem, a łagodność, dobroć i wyrozumiałość skłaniały ku niemu nawet tych, którzy się z nim nie zgadzali.

Im bardziej pochłaniała go działalność rewolucyjna, tem mniej pozostawało mu czasu na studya; wreszcie zarzucił je zupełnie. Pozostał jednak jeszcze czas jakiś studentem, aby każdej chwili mieć wolny wstęp do instytutu i nie zrywać stosunków z kolegami. W roku 1880 wystąpił z instytutu ostatecznie. W rozmowie z pewnym towarzyszem wyraził on wówczas żal, że tyle lat poświęcił na studya technologiczne, które mu się na nic w życiu nie przydadzą, podczas gdy tyle jest do zrobienia na polu działalności rewolucyjnej.

Ale praca wśród studentów nie wypełniała całej działalności Hryniewieckiego. Stanowiła ona tylko cząstkę jego pracy rewolucyjnej. Poświęcał on wiele czasu na pracę organizacyjną wśród robotników petersburskich i tu dał poznać swe niezwykłe zdolności agitatorskie. Pracował w tajnej drukarni partyjnej oraz brał udział w robieniu podkopu pod ulicą Małą Sadową, gdzie rewolucyoniści zamierzali wysadzić cara w powietrze.

Towarzysze, poznawszy jego niepospolite zdolności, starali się oszczędzać go, jako jednostkę wyjątkową, którą w pracy rewolucyjnej nie każdy zastąpić potrafi. Ciążyło mu bardzo to przymusowe powstrzymywanie się, podczas gdy cała jego dusza rwała się do pracy jak najniebezpieczniejszej. Znosił to jednak spokojnie, chętnie wykonywając wszystkie poruczane mu, choćby najdrobniejsze, sprawy.

Nareszcie życzeniom jego stało się zadość. Komitet Wykonawczy powołał go do udziału w zamachu, którego wykonanie naznaczono na dzień 13 marca 1881 roku.

Na kilka dni przed tym dniem, który miał być ostatnim dniem zarówno dla cara jak dla Hryniewieckiego, napisał on coś w rodzaju testamentu. Przytaczamy tu zeń kilka wyjątków.

„Aleksander II umrzeć musi. Dni jego są policzone.

„Czy mnie czy komu innemu sądzone jest zadać mu straszny ostatni cios, który odbije się głośnem echem w najodleglejszych zakątkach Rosyi, — to pokaże niedaleka przyszłość.

„Umrze on, a wraz z nim umrzemy i my, jego wrogowie, jego zabójcy.

„Potrzeba tego koniecznie dla sprawy wolności, w ten bowiem sposób zachwieje się to, co ludzie przebiegli zwą monarchią nieograniczoną, a co my nazywamy despotyzmem.

„Cóż będzie dalej?

„Czy dużo jeszcze ofiar wymagać będzie od swych synów nasza droga, nieszczęśliwa ojczyzna, zanim nastąpi jej wyzwolenie? Obawiam się... mnie, skazanego na śmierć, stojącego jedną nogą w grobie, trwoży myśl, że wiele jeszcze ofiar pochłonie walka, a więcej jeszcze ostateczna, śmiertelna rozprawa, która (mocno w to wierzę) nie jest już daleka, a która zaleje krwią pola naszej ojczyzny, gdyż, jak uczy historya, aby zakwitło drzewo wolności, potrzeba, niestety, ofiar z ludzi.

„Nie jest mi danem uczestniczyć w tej rozprawie ostatecznej. Sądzona mi jest śmierć przedwczesna, i nie ujrzę wolności; ani jednego dnia, ani jednej godziny żyć nie będę w owym pięknym czasie tryumfu; ale myślę, że moją śmiercią dokonam wszystkiego, czegom doko-

nać był powinien, i więcej ode mnie nikt, nikt na świecie wymagać nie może.

„Zadaniem partyi rewolucyjnej jest zapalić nagromadzony już materyał palny, rzucić iskrę do prochu, a potem przedsięwziąć wszelkie środki, aby ruch wywołany zakończył się zwycięstwem, a nie wytępieniem wszystkich najlepszych ludzi w kraju.“

W tych słowach maluje się cała szlachetna dusza Hryniewieckiego, gorąca miłość wolności, której postanowił siebie samego nieść w ofierze, niewzruszona wiara w niedaleki już tryumf sprawiedliwości. Ale jakże on się mylił, jakże się mylili wszyscy jego towarzysze, sądząc, że chwila zwycięstwa jest już niedaleka, że ich bohaterski pojedynek z rządem zachwieje tem, co ludzie przebiegli nazywają monarchią nieograniczoną! Przeceniali swoje siły, niedoceniali sił przeciwnika. Zapomnieli, że główna siła, główna podpora despotyzmu to ciemnota mas, że przedewszystkiem na tem polu, przedewszystkiem w umysłach mas pracujących stoczyć należy walkę z despotyzmem, że nie na wiele się zda zgładzenie despoty, dopóki ta podpora despotyzmu pozostanie niewzruszoną. Łudzili się, myśląc, że nagromadzony już jest materyał palny, w który pozostaje im tylko rzucić iskrę, aby wywołać rewolucyę społeczną. Materyału tego wcale nie było, a iskra, rzucona przez nich, w tejże chwili zgasła bez śladu. Działalność ich zakończyła się nie zwycięstwem, ale tem właśnie, czego się tak obawiał Hryniewiecki: wytępieniem najlepszych ludzi w kraju, a monarchia nieograniczona nietylko się nie zachwiała, ale wyszła z tych zapasów zwycięsko, i straszna noc reakcyi na długo zapanowała w Rosyi.

Powróćmy jednak do toku naszego opowiadania.

Nastał wreszcie pamiętny dzień 13 marca 1881 roku. W dniu tym Aleksander II miał odbyć przegląd gwardyi w ujeżdżalni. Na zebraniu, odbytem dnia poprzedniego, spiskowcy postanowili zabić go w czasie przejazdu do ujeżdżalni lub też podczas powrotu z ujeżdżalni do pałacu. Wykonaniem zamachu kierowała Zofia Perowska.

Oto jak rewolucyonista rosyjski, tow. Burcew, opisuje sam przebieg zamachu:

O godzinie 12 Rysakow i Jemelianow mieli czekać na rogu Newskiego Prospektu i ulicy Małej Sadowej, Michajłow zaś i Hryniewiecki na drugim końcu tej ulicy. Wszyscy czterej zaopatrzeni byli w bomby.

Postanowiono, w razie gdyby car miał przejeżdżać ulicą Małą Sadową, wysadzić go w powietrze za pomocą miny, która była przeprowadzona pod tą ulicą (dokonać tego mieli Jerzy Bogdanowicz i Anna Jakimow); w razie zaś gdyby mina nie wybuchła lub gdyby car pozostał przy życiu, wszyscy czterej spiskowcy, stojący na obu końcach ulicy, mieli pośpieszyć w to miejsce i skończyć z carem za pomocą bomb.

Perowska postawiła Hryniewieckiego w końcu ulicy Małej Sadowej, jako najdoświadczeńszego i najbardziej wyrobionego rewolucyonistę, który, na wypadek gdyby mina z jakiegokolwiek powodu nie wybuchła, miał pierwszy wykonać zamach i dać tem pozostałym spiskowcom sygnał do napadu na cara, gdyby to się jeszcze okazało potrzebnem.

Na kwadrans przed pierwszą Aleksander II pojechał do ujeżdżalni, ale innemi ulicami. Wobec niejasnych wieści, które krążyły o przygotowywanym przez rewolucyonistów zamachu, Aleksander II, zamiast, jak zwykle, przez Małą Sadową, pojechał do ujeżdżalni pustemi ulicami, których policya nie zdążyła obsadzić całą chmarą szpiegów, jak to zwykle w takich razach czyniła.

Gdy Perowska dowiedziała się, że car szczęśliwie dojechał do ujeżdżalni, ominąwszy ulicę Małą Sadową, dała znać spiskowcom za pomocą umówionego znaku. że należy iść nad kanał Jekateryniński i tam znowu oczekiwać przejazdu cara.

Całą godzinę, od pierwszej do drugiej, Aleksander II strawił na głupiem zajęciu — przeglądzie swej gwardyi, — zajęciu godnem takiego męża stanu, jakim on był. Był to ostatni akt jego działalności politycznej.

Po ukończeniu przeglądu i zwiedzeniu pałacu Michajłowskiego car pojechał do domu wzdłuż kanału Jekaterynińskiego, ale... tu oczekiwał go Hryniewiecki z towarzyszami. Więcej już niż godzinę przechadzali się oni wzdłuż kanału z zawiniątkami w ręku w obawie, aby im się czasem nie wymknął ten, z którym za wszelką cenę postanowili tego dnia skończyć.

Ulice, po których car miał przejeżdżać, strzeżone były przez specyalną straż policyjną. Należało być bardzo ostrożnym, gdyż ciągłem przechadzaniem się po tej samej ulicy łatwo było wzbudzić podejrzenie. Zawiniątko było niezbyt ciężkie, ważyło bowiem nie więcej jak pięć funtów, i niezbyt wielkie, do kieszeni jednak nie można go było schować; mogło ono wydać się podejrzanem czujnemu oku policyi, i to jeszcze podczas przejazdu cara. W razie aresztowania choćby jednego spiskowca mogło przepaść całe przedsięwzięcie, które od tak dawna było przygotowywane, tyle już ofiar kosztowało i w którem cała partya tak wielkie pokładała nadzieje.

Takie były ostatnie chwile świadomego życia Hryniewieckiego.

Perowska, dla której nie starczyło już bomby, pozostała na ulicy, aby mieć oko na przebieg sprawy. Przeszła wzdłuż kanału Jekaterynińskiego, obejrzała stanowiska, zajęte przez spiskowców i w milczeniu za pomocą umówionych znaków dała im ostatnie wskazówki. Potem przez most Kazański przeszła na drugą stronę kanału Jekaterynińskiego i stamtąd w wielkiem naprężeniu patrzyła w tę stronę, gdzie stał Hryniewiecki z towarzyszami.

Nareszcie nad kanałem Jekaterynińskim ukazała się kareta Aleksandra II i szybko zbliżyła się do pierwszego ze spiskowców, Rysakowa. O 30 kroków za nim stał wsparty o sztachety Hryniewiecki, a niedaleko od Hryniewieckiego Jemelianow.

Był kwadrans po drugiej, gdy Rysakow rzucił bombę pod konie carskiego pojazdu. Bomba wybuchła. Kozak, siedzący na koźle, żołnierz z konwoju i jakiś przechodzień padli ciężko lub śmiertelnie ranni. Z karety w wielu miejscach pozostały drzazgi. Aleksander II ocalał. Wyszedł z karety i przedewszystkiem zapytał: „czy zbrodniarz schwytany?“

Opodal kozacy i policyanci trzymali już Rysakowa, wyjąwszy mu z kieszeni rewolwer i sztylet.

Aleksander II, który przebył już był zamachy Karakozowa i Sołowiewa, wykonywane przez jednę tylko osobę, widząc Rysakowa w rękach policyi, myślał, że i tym razem bunt został już „wyrwany z korzeniem“, że teraz nastąpi już tylko szubienica oraz powinszowania, powinszowania, wiele powinszowań „z powodu cudownego ocalenia pomazańca bożego“ od grożącego mu niebezpieczeństwa.

Mędrszy od cara policmajster Dworzycki prosił go, aby natychmiast jechał do pałacu. Ale troskliwość Dworzyckiego nic już pomódz nie mogła. Gdyby nawet Aleksander II zdążył siąść do karety i odjechać, to nie przepuściłby go Hryniewiecki, a za Hryniewieckim stał jeszcze jeden spiskowiec.

„Chwała Bogu, jestem ocalony“, powiedział Aleksander II do jednego z kozaków.

„Niewiadomo jeszcze, czy chwała Bogu“, odrzekł mu Rysakow.

Od chwili wybuchu upłynęło z jakie trzy czy cztery minuty.

Aleksander II oddalił się nieco od otaczającego tłumu i poszedł naprzód ku sankom... Ale tu zbliżył się doń Hryniewiecki i stanął w odległości dwóch czy trzech kroków od cara... Hryniewiecki podniósł bombę i, aby cios był pewniejszy, cisnął ją z całej siły o ziemię między sobą a carem... Hryniewiecki wiedział, że ani dla niego, ani dla cara niema ratunku.

Rozległ się znowu ogłuszający huk. Kłęby dymu, śnieg, strzępy odzieży uniosły się w powietrze. Przez kilka chwil nic nie było widać.

Gdy dym się rozwiał, ukazał się obraz następujący:

Na ziemi leżało wielu rannych. Oparty plecami o sztachety kanału, podpierając się rękami o trotuar, bez szynelu i czapki, nawpół siedział Aleksander II. Cały był krwią zbroczony i z trudnością oddychał. Nogi miał strzaskane, krew lała się z nich obficie, ciało wisiało na nim strzępami, twarz zalana była krwią... Tuż przy nim leżał szynel, a właściwie strzępy okrwawione i opalone...

Obok leżał także śmiertelnie ranny Hryniewiecki. Wraz z innymi rannymi odniesiono go do pobliskiego szpitala.

Policya rychło się domyśliła, że ten ranny jest rewolucyonistą, który swą bombą zabił Aleksandra II.

Hryniewiecki przez cały czas był nieprzytomny i dopiero o godzinie 9 wieczorem, na krótko przed śmiercią, oprzytomniał na chwilę. Czuwający przy nim sędzia śledczy pośpieszył go zapytać: „Jak się pan nazywa?“ „Nie wiem“, urywanym głosem odpowiedział Hryniewiecki.

O godzinie pół do jedenastej wieczorem Hryniewiecki skonał; nieco wcześniej o godzinie pół do czwartej umarł Aleksander II.

Przez kilka dni żandarmi pokazywali różnym świadkom ciało Hryniewieckiego i jego fotografię, aby wyjaśnić, kto by to mógł być. Dopiero jednak po ukończeniu procesu o carobójstwo dowiedział się rząd jego nazwiska.

Tak żył i zszedł do grobu jeden z tych wielkich duchów ofiarnych, których wysiłki i cierpienia ludzkość od wieków naprzód popychają. Jego pamięć dla nas świętą zostanie, bo w twardej służbie obowiązku społecznego, na drodze takiej, jaką był w stanie wypatrzeć, złożył on wszystko co miał, i zaiste, „więcej od niego nikt na świecie wymagać nie mógł“. A jego poświęcenie, jak również ten tryumf rewolucyi nad caratem, tryumf, który był dziełem Hryniewieckiego, jakkolwiek krótki i nietrwały, zasiał w niejedną duszę młodą nasienie przyszłych — chociaż odmiennych — czynów i poświęceń dla sprawy wolności. W ten sposób pojmując i odczuwając bohaterstwo Hryniewieckiego, z głębi serca zawołać możemy, że „nikt dla idei nie ginie marnie!“

Ale z historyi partyi, której się oddał Hryniewiecki, inne jeszcze nauki wyciągnąć musimy. Szybki upadek „Narodnej Woli“ uczy nas, że żadne bohaterstwo jednostek i grup nie osięga celu, jeśli nie jest wyrazem głębokich uczuć i przekonań mas ludowych i nie jest przez masy te czynem poparte. Bo gdyby nawet rząd carski w chwilowem przerażeniu ustąpił i dał jakąś konstytucyę Rosyi, to chwila przestrachu szybko by minęła, a ustępstwa potrafionoby cofnąć bez poważnego oporu z żadnej strony.

Jednak nawet do takich ustępstw nie doszło. Natomiast temu społeczeństwu rosyjskiemu, które niezadowolone z małych łupów, zdobytych w wojnie tureckiej przez Aleksandra II, jako tako popierało „ arodną Wolę“, temu społeczeństwu Aleksander III dał zadośćuczynienie. Panowanie Aleksandra III niezmiernie wzmocniło zaborczą potęgę Rosyi, a przez to samo dało nowe siły żywotne despotyzmowi w samej Rosyi. Naród, wzrastający krzywdą sąsiadów i ciągle spoglądający pożądliwem okiem na cudze łany, naród taki nie może być rządzony inaczej, jak despotycznie. Do utrzymania w całości zaborów nad sąsiadami koniecznym jest despotyzm w całem państwie. A rewolucya w Rosyi zwyciężyć może dopiero wtedy, gdy carat będzie pobity na głowę na tem właśnie polu, na którem wzrósł: na polu podbojów, i gdy hasłem rewolucyonistów rosyjskich stanie się: rozbicie dzisiejszego państwa rosyjskiego, to jest przedewszystkiem niepodległość Polski, Litwy i Ukrainy.

E. P

Pierwsze dni powstania listopadowego.

W poprzednim numerze „Światła“ poznaliśmy historyę Królestwa Kongresowego, to jest ten okres czasu, który poprzedził powstanie i przygotował grunt dla niego. Widzieliśmy, jak rząd carski stopniowo odbierał konstytucyjne prawa, które zmuszony był nadać nam na kongresie wiedeńskim; widzieliśmy, jak gwałcił systematycznie konstytucyę,

pozbawiając nas wolności druku i słowa, wolności osobistej, a nawet wprowadzał stan wyjątkowy lub wprost zagrażał odebraniem konstytucyi. Widzieliśmy, jak część społeczeństwa, a mianowicie „wyższe“ jego warstwy oburzały się na to, jak oburzenie ich znajdowało ujście bądź w opozycyi sejmowej, bądź też w spiskach, dążących do wywołania powstania.

Ucisk polityczny z jednej strony, rosnące niezadowolenie z carskich rządów — z drugiej, czyniły wybuch nieuniknionym; chodzi tylko o to, czy istniała wówczas u nas jakakolwiek siła prawdziwie rewolucyjna, która by przystępowała do powstania z wyraźnym programem politycznym i społecznym, miała jasno wytknięty cel, posiadała środki do urzeczywistnienia tego celu, — która by jednem słowem mogła nadać powstaniu cechy wybitnie rewolucyjne i natchnąć je tą siłą, bez której zwyciężenie caratu staje się rzeczą wątpliwą.

Na to pytanie musimy dać odpowiedź przeczącą. Takiej siły nie było wówczas w Polsce. Duchowieństwo nigdy i nigdzie nie było i nie może być prawdziwie rewolucyjnem; może ono walczyć z monarchią absolutną lub ze szlachtą o swe przywileje, jak to miało miejsce w wiekach średnich, ale ludu poruszyć, przemówić w imię jego własnych interesów nie może, bo ruch ludowy oznacza zrównanie stanów, usunięcie wszelkich przywilejów, a tymczasem dobrobyt i władza duchowieństwa opierają się właśnie na przywileju, tak że zwycięstwo ludu jest śmiercią dla kleru. Nie dość na tem: wyższe duchowieństwo, zależne z jednej strony od papieża, z drugiej — od rządu, który mu wypłaca znaczną pensyę, jest zawsze ugodowem; niższe, szczególnie wiejskie duchowieństwo, bardziej do ludu zbliżone, może mieć czasami uczucia narodowościowe, może nawet być wrogiem rządu, jeżeli rząd, uciskając narodowość, prześladuje zarazem religię i kościół; w takich wypadkach niższe duchowieństwo może sprzyjać powstaniu, a nawet brać w niem udział, jak to miało miejsce w 1863 roku; ale zawsze stara się pozbawić powstanie wszelkich cech rewolucyjnych. W 1830 roku nawet i tego nie było, bo rząd carski nie prześladował katolicyzmu, przeciwnie — widział w nim jednę z podstaw swej władzy i protegował duchowieństwo, które wskutek tego było duszą i ciałem jemu oddane i mogło tylko tamować rozwój powstania.

Drugą podporą caratu była arystokracya, która też była nastrojona zupełnie ugodowo. Mniej zamożna szlachta wahała się pomiędzy dwoma uczuciami: gwałcenie konstytucyi oburzało ją i dotykało bezpośrednio, bo ona stanowiła masę wyborców i z jej łona wybierano posłów na sejm, a przytem żyła wśród niej tradycya dawnych czasów, kiedy szlachta od nikogo zależną nie była i rządziła krajem podług swej woli. Z drugiej zaś strony widziała, że carat uwzględnia jej ekonomiczne interesy, że o zniesieniu pańszczyzny nie myśli, a przytem znajdowała się do pewnego stopnia pod wpływem kleru; widziała więc w carze obronę przeciwko „przewrotowym prądom“ zachodu, przeciwko „demagogii“ i „buntom“ chłopskim. Wobec tego nie mogła zająć wyraźnego stanowiska: chciała mieć „gwarancye konstytucyjne“ (ulubione podówczas wyrażenie), t. j. chciała mieć pewność, że rząd będzie

nadal ściśle przestrzegał praw, że dopuszczać się nie będzie nadużyć. Ale jak go do tego zmusić? Oczywista rzecz, że jedynym środkiem mogła być walka orężna; to też szlachta albo rada groziła powstaniem, albo nawet gotowa była wziąć w niem udział (spiskowcy, jak widzieliśmy, rekrutowali się ze szlachty), ale powstanie pojmowała zawsze tylko jako obronę swobód konstytucyjnych, a nie jako walkę na życie i śmierć. Nie można powiedzieć, żeby szlachta była przeciwna niepodległości Polski, — oczywiście, pod warunkiem, że będzie to Polska przez nią, a nie przez lud, rządzona — ale nie czuła się na siłach do podjęcia walki w tym celu, ludu zaś poruszyć i nie mogła, i nie chciała, bo musiałaby w takim razie znieść pańszczyznę, nadać chłopom ziemię i prawa polityczne, co było, oczywiście, wręcz przeciwne jej interesom klasowym. Wobec tego musiała szukać pomocy u obcych mocarstw i pod tym względem zgadzała się z arystokracyą, która była z początku wrogiem wszelkiego zbrojnego ruchu, ale później, gdy wojna z carem stała się nieuniknioną, starała się przy pomocy obcych mocarstw zakończyć ją i jak najprędzej zawrzeć pokój z Mikołajem.

Mieszczaństwo nieliczne, nie posiadające ani organizacyi, ani wykształcenia politycznego, nie było siłą polityczną. Wzięło ono żywy udział w powstaniu; bardziej patryotyczne od szlachty, chciało walki o niepodległość. Słusznie powiada jeden z historyków naszych, że „lud warszawski, rozrywając broń z arsenału, nie upominał się o konstytucyę, której nie rozumiał, lecz o Polskę, którą dobrze pojmował". Ale mieszczaństwo warszawskie nie miało dość siły, by pokierować powstaniem. Tem bardziej nie mogli tego uczynić chłopi, którzy mogli czuć instynktową nienawiść do najezdzców, ale ciemni zupełnie, pozbawieni praw politycznych, nie mogli odegrać wybitnej roli. Jeżeli jednak klasa włościańska nie była w stanie kierować powstaniem, to mogła przynajmniej wziąć w niem liczny udział; ale do tego trzeba było, żeby powstanie odpowiadało jej klasowym interesom, żeby jej dało to wszystko, czego nie dał carski rząd — inaczej poruszyć jej, pociągnąć za sobą nie mogło. Powstanie, kierowane przez szlachtę, nie chciało i nie mogło zrobić tego.

Zrobiliśmy tu przegląd naszych sił politycznych. Widzimy, że nie mieliśmy wcale żywiołów rewolucyjnych, nie mieliśmy ani jednej klasy, zdolnej stanąć w obronie ludu, nadać powstaniu charakter rewolucyi. *Powstanie listopadowe nie było i nie mogło być ludowym ruchem, nosiło piętno szlacheckie, i dlatego zwycięstwo było wątpliwem.*

Trudno przypuszczać, żeby ugodowa arystokracya albo nawet chwiejna szlachta mogły skorzystać ze szczęśliwego zbiegu okoliczności i doprowadzić powstanie do pożądanego końca. Walka orężna jest tylko częścią, tylko jedną stroną rewolucyi; jeżeli rewolucya nie ma sama w sobie do śćsiły i stanowczości, jeżeli jej polityka względem wewnętrznych i zewnętrznych wrogów nie jest radykalną, to i walka orężna będzie nosiła cechy chwiejności. Najlepszym tego przykładem jest właśnie powstanie listopadowe.

*
* *

Wybuch powstania miał nastąpić 29 listopada o godz. 6 wieczorem. Plan spiskowców był taki: wojska rosyjskiego było w Warszawie zaledwie 5.000, polskiego — 8.000, łatwo więc było przy pomocy polskich pułków i ludu rozbroić moskali, którzy w dodatku byli rozrzuceni w przeciwległych końcach miasta. W parku łazienkowskim, o parę set kroków od szkoły podchorążych, znajdowały się koszary 3 pułków kawaleryi moskiewskiej; na nią mieli napaść podchorążowie, na pomoc im miało pośpieszyć kilka rot polskiej piechoty. Inne oddziały wojska polskiego miały rozbroić pułk litewski, który stał koło rogatek marymonckich, i pułk wołyński, który się znajdował w koszarach koło rogatek powązkowskich. Część spiskowców miała rzucić się na Belweder, gdzie mieszkał Konstanty, inni mieli poruszyć lud na Starem Mieście, a jeszcze innym poruczono zająć Pragę z magazynem prochowym i mostem oraz arsenał i bank. Sygnałem do rozpoczęcia powstania miał być pożar browaru na Solcu, poczem miano natychmiast podpalić dwie drewniane budowle na Nowolipiu i rzucić się na wroga. Jak widzimy z tego, atak miał być wykonany we wszystkich punktach jednocześnie, na dany znak miano uderzyć odrazu na wszystkie oddziały moskiewskie, które można było łatwo rozbroić. Plan był dobry, ale nie został wykonany dla wielu przyczyn, o których zaraz powiemy.

Koło godziny 6-ej spiskowcy zaczęli się zbierać w różnych częściach miasta w punktach zgóry oznaczonych, ale czas mijał, a umówionego sygnału nie było widać. Piotr Wysocki, jeden z naczelników spisku, dopiero w wigilię wybuchu rozpoczął starania o materyały palne i nie dostał ich, wobec czego musiano użyć słomy dla podpalenia browaru. Pożar, bardzo słaby, został natychmiast ugaszony. Popsuło to odrazu szyki spiskowcom, bo ci, którzy działali koło Belwederu i koszar jazdy, nie mogli dać znać o sobie tym, którzy w przeciwległej stronie miasta mieli atakować litewski i wołyński pułk; ci zaś, nie widząc umówionego sygnału, sądzili, że coś musiało przeszkodzić pod chorążym, że wybuch jeszcze nie nastąpił i nie zaczynali działać. Wybuch więc nastąpił nie jednocześnie, lecz stopniowo walka przenosiła się z miejsca na miejsce, wobec czego oddziały moskiewskie zostały zaalarmowane i miały czas stanąć pod bronią i zebrać się razem. Zobaczmy, jak się to stało.

Więcej niż w godzinę po umówionym terminie wykonano atak na Belweder i koszary jazdy. Spiskowi cywilni wraz z dwoma podchorążymi, znającymi dobrze wnętrze Belwederu, zebrali się koło mostu Sobieskiego; tu przyniesiono im karabiny, i wszyscy w liczbie 18 wyruszyli na Belweder. Rozdzielili się oni na dwa oddziały: jedni mieli atakować pałac od frontu, drudzy zaczaili się w ogrodzie na tyłach pałacu, żeby nie wypuścić z rąk Konstantego, gdyby ptaszek — jak się wyrażali — przypadkiem wyleciał do ogrodu. Pierwszy oddział, dochodząc do bramy, podwoił kroku i wpadł na dziedziniec z okrzykiem: „śmierć tyranowi!“ Jednocześnie dały się słyszeć strzały w stronie koszar jazdy; to Wysocki z podchorążymi atakował. Służba Konstantego, przerażona tym hałasem, ucieka, nie stawiając najmniejszego oporu.

Spiskowi wyłamują drzwi pałacowe, wpadają do środka, przebiegają pokoje jedne za drugimi — nigdzie ani żywej duszy. Nareszcie w jednej z sal zastają wystraszone jakieś indywiduum, poznają w niem wiceprezydenta miasta, Lubowidzkiego, który tylko co przyleciał do Konstantego z donosem, że ma niechybnie nastąpić rewolucya. Lubowidzki pada, przebity kilkoma bagnetami; spiskowi biegną dalej, lecz nigdzie nie znajdują Konstantego. Ten na pierwszy odgłos strzałów został obudzony przez służącego — spał właśnie po obiedzie — i w bieliznie tylko schronił się do pokoju, gdzie żona jego z kilkoma kobietami siedziała. Tam w strachu największym, blady, nieprzytomny prawie pada wraz z kobietami na kolana, i zaczynają się modlić. Jeszcze w godzinę później Konstanty tak drżał ze strachu, że nie był w stanie sam dosiąść konia. Spiskowi, nie znajdując wielkiego księcia, zabili jeszcze jednego z najbardziej nienawidzonych jenerałów i czem prędzej opuścili Belweder, żeby połączyć się z innymi.

Gdy tak oddział cywilnych spiskowych urządzał szaloną, ale niefortunną wyprawę na Konstantego, podchorążowie wiedli krwawy boj z nieprzyjacielem. Piotr Wysocki wpadł do szkoły, gdzie odbywał się właśnie wykład, i przerwał lekcyę, wołając: „Polacy! Godzina zemsty wybiła, dziś zwyciężymy albo polegniemy!“ Cała sala odpowiedziała mu okrzykiem: „do broni, do broni!“ W jednej chwili szkoła się wypróżniła, w parę minut podchorążowie, każdy z karabinem w ręku, znaleźli się na dworze, rozebrali ostre ładunki i wyruszyli w szyku bojowym na koszary. Wszystkich było 160; przewodził Wysocki. Dobiegając do koszar, strzelili na wiatr, żeby spłoszyć jazdę moskiewską a zarazem dać znak innym oddziałom, poczem skoczyli do środka. Wnet w ciemnościach zawrzała walka. Podchorążowie natrafili na ułanów, którzy, zaalarmowani pierwszymi strzałami, zdążyli już dopaść koni i ruszyli z kopyta, chcąc odrazu złamać i stratować napadających. Podchorążowie puścili ich na bliską metę i sypnęli takim piekielnym ogniem, że ułani ani chwili jednej wytrzymać nie mogli i co tchu zaczęli uciekać. Podchorążowie szli wciąż naprzód, prąc przed sobą moskali, zasypując ich gradem kul. Dwa inne pułki — kirysyerów i huzarów — zdążyły jednak przez ten czas sformować się i opuścić koszary; mogły one w każdej chwili odciąć garstkę walecznych od miasta, a oczekiwana przez podchorążych pomoc znikąd nie nadchodziła. Rzecz w tem, że jeden z jenerałów polskich, Potocki, który obiecał stanąć na czele spiskowców, w ostatniej chwili zdradził, i oddziały piechoty polskiej, spieszące na pomoc podchorążym, wstrzymywał, odmawiał od udziału w powstaniu i odsyłał do Belwederu dla ochrony Konstantego. Spotkała za to później Potockiego zasłużona kara — został rozstrzelany przez spiskowców, ale zdążył dużo im zaszkodzić.

Wysocki, nie widząc znikąd posiłków, musiał się wycofać z koszar i skierował się w stronę miasta. Kawalerya moskiewska próbowała kilkakrotnie otoczyć tu drobny oddział, ale za każdym razem podchorążowie pierwsi rzucali się na nią z bagnetem, i moskale sromotnie uciekali. Nareszcie, nie chcąc się bliżej zapoznawać z podchorążymi,

moskale dali im spokój i pośpieszyli do Belwederu, Wysocki zaś, przez nikogo nie napastowany, podążył przez Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście do Zamku. Tak więc na południu nie powiodło się naszym: ani Konstanty, ani jazda moskiewska nie dostali się w nasze ręce. Nie wiele lepiej stały rzeczy w innych częściach miasta. Zajęto Pragę, arsenał i bank, ale tak samo nie zdołano rozbroić piechoty moskiewskiej. Nawet pułk wołyński próbował odebrać nam arsenał, ale przywitani rzęsistym ogniem, „chrabryje wołyncy“ cofnęli się czem prędzej i połączyli się z pułkiem litewskim na polu marsowem.

Cały plan spiskowców spełzł na niczem. Mieliśmy w swoich rękach Pragę i część Warszawy pomiędzy Wisłą z jednej strony, a linią, idącą od placu Saskiego do Krakowskiego Przedmieścia — z drugiej; mieliśmy arsenał i bank, to jest broń i pieniądze — dwie rzeczy niezbędne w powstaniu, ale rosyanie nie zostali rozbrojeni i Konstanty mógł w każdej chwili zaatakować powstańców. Przygotowywano więc wszystko do obrony, budowano barykady, posyłano patrole, Konstanty jednak na szczęście nie odważył się na krok stanowczy.

Co się przyczyniło do takiego niepowodzenia? Oto naprzód błędy samych spiskowców, z powodu których nie wykonano ataku jednocześnie na wszystkich punktach. Następnie brak głównego dowódcy, który by kierował ruchem, ale bardziej jeszcze — niechęć, opieszałość lub zdrada wszystkich wyższych oficerów. W noc powstania zabito 7 jenerałów zdrajców — tych samych, którym car po powstaniu, jako wiernym swym sługom, wystawił na placu Saskim pomnik. Ani jeden z jenerałów nie stanął wówczas w szeregach powstańczych, a wszyscy inni wyżsi oficerowie starali się jak mogli odwodzić żołnierzy od udziału w ruchu, i wypadło ich „przekonywać“ groźbą śmierci. Z tego już widzimy, jaki duch panował wśród oficerów. Nie dość na tem. Niektóre oddziały wojska polskiego, naprzykład pułk strzelców konnych, stawały po stronie Konstantego i „prawowitej władzy“, tak że musiano walki z nimi staczać. Zrobimy tu nawiasem jedną uwagę: w poprzednim numerze, mówiąc o różnicy pomiędzy tajną partyjną organizacyą a spiskiem, zaznaczaliśmy, że spisek nie uświadamia nikogo i żadnych śladów w umysłach ludzi nie pozostawia. Najlepszym tego przykładem może być właśnie pułk strzelców konnych. Oficerowie tego pułku prawie bez wyjątku należeli w swoim czasie do spisku Krzyżanowskiego; dwa lata upłynęły, a ci sami ludzie dobrowolnie tratowali powstańców, atakowali ich z całą furyą, jakby chcąc odkupić swe dawne grzechy wobec cara.

Charakterystycznem było również zachowanie się mieszczaństwa: cała bogatsza Warszawa szczelnie pozamykała drzwi i okna, nie chcąc najmniejszej pomocy dawać powstańcom. Uboższe mieszczaństwo dość bojaźliwie i niedowierzająco spoglądało w pierwszej chwili na ruch, bo — jak to już nieraz zaznaczaliśmy — nikt go nie uświadamiał, nikt nie zaagitował. Jeden ze spiskowców, który właśnie na Starem Mieście tej nocy działał, tak opisuje postawę ludu warszawskiego: „Na Starem Mieście, pośród tradycyi 1794 roku *), na tym samym bruku,

*) Powstanie Kościuszkowskie i rzeź moskali w Warszawie.

gdzie za Kościuszki tylu zdrajców wisiało, oczekiwaliśmy sygnału do działania z tą samą niecierpliwością, która dręczyła spiskowych na wszystkich innych punktach stolicy. Godzina siódma już wybiła, a nie było końca próżnemu oczekiwaniu. Coraz niespokojniejsi o los powstania, usłyszawszy zdala głos bębna, wychodzimy na rynek, krzycząc: „do broni, do broni". Właśnie nadciągały dwie kompanie z pobliskich koszar (była to polska piechota). Po chwili krzyki z Podwala, z Piwnej ulicy i widok żołnierzy zwabiły na rynek mnóstwo mieszkańców Starego miasta. Przemawialiśmy do nich, jakeśmy mogli. Gdy się zebrały cokolwiek większe tłumy, ruszyliśmy z nimi przez ulice Senatorską i Miodową ku arsenałowi. O paręset kroków od arsenału, na ulicy Długiej, już była wielka masa, coraz więcej łączyło się ludu z kolumną, którąśmy przyprowadzili z Starego Miasta; wszędzie brzmiały rewolucyjne odgłosy. W tym właśnie momencie nasi dali ognia pod arsenałem do nacierającej gwardyi wołyńskiej. Wrażenie tych pierwszych strzałów było tak silne, że co tylko przybyło z nami, co nadeszło z Podwala i z Nowego Miasta, pierzchło w mgnieniu oka i nie wiem, gdzie się podziało, tak że tylko sami spiskowcy zostali na ulicy. Ten chwilowy popłoch przeszedł, myśmy znowu pobiegli na Stare Miasto, i lud znowu zaczął się zgromadzać, roznosząc z pierwszego przerażenia wieść, że moskale naszych wycinają". Dopiero gdy napad moskali na arsenał został odparty, gdy widok naszego zwycięstwa uspokoił tłumy ludu, zaczął on domagać się broni, którą mu natychmiast z arsenału dano. I teraz dopiero wstąpiła w nich odwaga. Konstanty, dowiedziawszy się, że lud się uzbroił i bierze udział w powstaniu, tak się przeraził, że zwrócił się do swoich jenerałów ze słowami: „Panowie, od tej chwili ani jednego strzału nie wolno dać". Nie chciał on drażnić ludu, bo pamiętał powstanie kościuszkowskie i rewolucyę we Francyi.

Zobaczmy, co przez ten czas robili ugodowcy nasi. Władysław Zamojski, adjutant Konstantego, natychmiast po pierwszych strzałach udał się do Belwederu i jął przekładać wielkiemu księciu, że „to zamieszanie może uspokoić kawalerya". Konstanty stracił zupełnie głowę, żadnych rozporządzeń nie dawał, powtarzał wciąż tylko: „do niczego nie chcę się mieszać, to jest sprawa polaków, niech więc polacy sami ją załatwią". Następnie kazał Zamojskiemu udać się do miasta i przywieść dokładniejsze wiadomości o sile powstańców. Zamojski, nie ograniczając się do tego polecenia, udaje się do Adama Czartoryskiego (ten sam, który najwięcej agitował podczas kongresu wiedeńskiego za przyłączeniem Królestwa do Rosyi) i przedstawia mu, że należy zebrać Radę Administracyjną i spróbować uspokoić wzburzony lud. Czartoryski chętnie się zgadza na to i porozumiewa się w tym celu z Lubeckim, ministrem Skarbu. Lubecki oddawna śledził wszystkie ruchy powstańców; gdy mu doniesiono, że powstańcy nie utworzyli żadnego rządu rewolucyjnego, ucieszył się ogromnie; mówiąc: „jeżeli tak, to temu (t. j. powstaniu) można i trzeba zaradzić". Zgodził się on natychmiast na projekt Czartoryskiego, powołał tylko do Rady Administracyjnej kilka osób, które — jak naprzykład Pac i Niemcewicz — były popularne

w kraju, uchodziły za patryotów, ale w gruncie rzeczy niechętne były powstaniu. Przed tym nowym składem Rady Zamojski zdał sprawę ze swej rozmowy z Konstantym. Rada, nie ograniczając się na tem, wysłała w delegacyi do Belwederu Czartoryskiego i Lubeckiego, którzy przekładali wielkiemu księciu, że powinien użyć siły zbrojnej „dla ukrócenia rozruchu“. Tak przemawiali ludzie, którym sądzono było odegrać wybitną rolę w powstaniu! Konstanty nie decydował się na tak stanowczy krok.

Powróciwszy od wielkiego księcia z niczem, Lubecki i Czartoryski postanowili działać na swoją rękę i innym sposobem sparaliżować powstanie. Rada Administracyjna wydała tej samej jeszcze nocy odezwę następującej treści: „Polacy! Równie smutne, jak niespodziewane wypadki wczorajszego wieczora i nocy spowodowały rząd do przybrania do grona swego obywateli z zasług swych znanych i do odezwania się do was. Najjaśniejszy w książe cesarzewicz wojskom rosyjskim wszelkiego działania wzbronił, gdyż rozdwojone umysły polaków polacy sami skojarzyć powinni. Czy polak we krwi bratniej ma broczyć dłoń swoją? Chcielibyście dać światu widok największego dła kraju nieszczęścia — domowej niezgody? własnem umiarkowaniem jedynie ocalić się możecie od pogrążenia się w przepaści, nad którą stoicie! Wróćcie zatem do porządku i spokojności, a wszelkie uniesienia niech przeminą z nocą, która je pokrywała“.

Przytoczyliśmy tę odezwę, bo w niej jak na dłoni widać nietylko sposób myślenia Rady, ale całą politykę szlachty ugodowej, która miała kierować powstaniem. Więc naprzód Rada powołuje do swego grona ludzi, uchodzących za patryotów, i w ten sposób zyskuje pomiędzy nieuświadomionym ludem warszawskim pewną popularność. Pod osłoną tej popularności odzywa się już śmiało do ludu, potępiając powstanie, nazywając ruch zbrojny „smutnym wypadkiem“; wzywa „do porządku i spokojności“, t. j. do złożenia broni, a zarazem daje do zrozumienia, że może użyć siły przeciwko powstańcom Tak przemawiał rząd z polaków złożony, — najlepsza to charakterystyka „patryotyzmu“ naszych „wyższych“ warstw.

Rzecz godna uwagi, że ogół nie pojął treści tej odezwy, nie oburzył się na nią, nie obalił rządu — taki brak był wszelkiego uświadomienia politycznego. Niemniej jednak Rada przerachowała się: lud chciał się bić, spiskowi musieli, bo w razie stłumienia powstania czekała ich szubienica; powstrzymać ruch nie mogła już żadna siła, ale można go było opanować, nadać mu kierunek pożądany dla Rady, i to właśnie dlatego, że lud nieuświadomiony nie mógł stawić oporu. Tak też postąpiła Rada, mając za sobą poparcie znacznej części ludności. Jeden z naocznych świadków tak opisuje nastrój ludności: „W zaranku długo utęsknionej swobody cóż to za ponury widok przedstawiała Warszawa! Wszystkie domy, kościoły ciągle były zamknięte, okna osłonione. Zdawało się, że mieszkańcy nie chcą ze snu się przebudzić. Urzędnicy złorzeczyli powstaniu — im szło o pensye i znaczenie. Kupcy, bankierowie, fabrykanci, majętniejsi nawet rzemieślnicy, po większej części cudzoziemcy, których było do kilkunastu tysięcy, lękali się jedni

rabunku, drudzy nagłej przerwy w interesach, — jak wszyscy na świecie kupcy, kramarze, rękodzielnicy. Im szło o sklepy i zarobek. Jeden tylko prosty gmin, ten sam co za czasów Kilińskiego, rozebrawszy broń z arsenału, snuł się tłumami po rynkach i placach tego ogromnego, martwego miasta, oznajmując strzelaniem na wiwat, że czas coś zdziałać dla Polski".

Cały dzień 30 listopada upłynął, nie przynosząc z sobą rozstrzygnięcia sprawy, — nie było nawet ważniejszych wypadków. Konstanty wciąż jeszcze stał pod miastem, gromadził wojsko i ściągał artyleryę; mógł on zbombardować Warszawę nazajutrz. Powstańcy stali bezczynnie, bo nie mieli władzy; bogatsza ludność tak dalece wrogo się do ruchu odnosiła, że przez cały dzień nawet jedzenia powstańcom nie dostarczyła. Myślała ona tylko o zabezpieczeniu swego mienia i drżała na myśl o rewolucyi społecznej; dla walki z tą, mogącą jej zdaniem wybuchnąć, rewolucyą tworzyła „straż bezpieczeństwa". W tym samym czasie Rada zasiadała w „zbuntowanej" Warszawie i tu, zewsząd otoczona powstańcami, wydawała do nich odezwy i rozkazy w imieniu cara — i uchodziło to jej bezkarnie! W imieniu Mikołaja powierzyła dowództwo nad siłą zbrojną Chłopickiemu. Jenerał ten odznaczył się podczas wojen Napoleona, cieszył się niesłychaną popularnością — może dlatego, że Konstanty go nie lubił — i przez wszystkich spiskowców, począwszy od Łukasińskiego, a kończąc na Wysockim, uważany był za naturalnego dowódzcę powstania. Dziwny i wielce charakterystyczny był ten obłęd spiskowców: Chłopicki, zwyczajny żołdak z usposobienia i wychowania, nienawidził wszelkich spiskowców, „buntowników," nigdy do tajnych stowarzyszeń nie należał, z pogardą się o powstaniu zawsze wyrażał i mawiał, że „z rąk buntowników nigdy władzy nie przyjmie", — a pomimo to wszystkie spiski liczyły na niego, miały go za jakiegoś pół-boga i były przekonane, że obejmie on dowództwo w powstaniu i zwycięży moskali. Na wieść o wybuchu powstania Chłopicki ukrył się przed ludem, bojąc się, żeby go nie okrzyknięto wodzem, i dopiero wieczorem 30 listopada odszukano go i doręczono nominacyę Rady na wodza. Rada wiedziała dobrze, co robi: Chłopicki zgadzał się najzupełniej z Radą pod tym względem, że chciał, jak i ona, zatamować ruch, a zarazem posiadał zaufanie ludu i nikt by go nie podejrzewał o zdradę.

Nazajutrz, to jest 1 grudnia, w składzie Rady Administracyjnej nastąpiła zmiana, która w niczem nie zmieniła polityki Rady, ale wywarła zgubny wpływ na rozwój ruchu. Bawiło wówczas w Warszawie kilkudziesięciu posłów sejmowych, przeważnie przedstawicieli szlacheckiej opozycyi przeciwko rządom Mikołaja. Ci, zebrawszy się, uchwalili zażądać od Rady, żeby usunęła z swego grona niektórych niepopularnych członków, znanych ze swej służalczości i przekonań reakcyjnych. Rada musiała się na to zgodzić i przybrała na ich miejsce nowych z pośród opozycyi sejmowej. Najbardziej znanym i najwybitniejszym z nich był Lelewel, znakomity uczony i historyk. Poprzednio był on profesorem w Wilnie, gdzie pozyskał zaufanie i miłość słuchaczów. Gdy Nowosilcow prowadził słynne śledztwo przeciwko filaretom

i innym organizacyom młodzieży, Lelewel musiał ustąpić z katedry jako „niebłagonadiożnyj“ i osiadł w Królestwie. Prześladowania rządowe uczyniły go popularnym, został wybrany posłem na sejm i — po usunięciu braci Niemojewskich — był najwybitniejszym członkiem opozycyi. Powszechnie uważano go za skrajnego radykalistę, „czerwonego“, „jakobina“, co czyniło go postrachem burżuazyi i szlachty, a zarazem bożyszczem ludu warszawskiego. W gruncie rzeczy był to człowiek bez charakteru, nie posiadał najmniejszego zmysłu politycznego, a pod względem przekonań był typem tak zwanego szlacheckiego demokraty: chciał reform społecznych, zresztą niezbyt daleko idących, ale reform, danych ludowi z łaski przez samą szlachtę.

Przybranie Lelewela powiększyło jeszcze popularność Rady i ugruntowało jej wpływ. Ze strony ugodowców był to krok niezmiernie sprytny; postępowanie ich da się określić w ten sposób: wciągać w stary, reakcyjny rząd to wszystko, co ze swego charakteru, przekonań lub popularności mogło pożytecznie i wiernie służyć sprawie powstania, gdyby do rządu nie należało. Na tę zasadę musimy zwrócić szczególną uwagę, bo taką samą taktykę spotkamy wszędzie — we wszystkich powstaniach polskich, we wszystkich rewolucyach Zachodniej Europy. Reakcyoniści, mając władzę w swych rękach, starają się powstrzymać ruch, „uspokoić wzburzony lud“, jak się wyrażają. Gdy lud „uspokoić się“ nie chce, gdy zagraża samemu rządowi, ten widzi się zmuszony do pewnych ustępstw; robi więc ustępstwa możliwie najmniejsze, a dla „uspokojenia umysłów“ przybiera do swego grona ludzi, cieszących się popularnością. Ludzie ci wchodzą do rządu czasem dla zadowolenia swojej ambicyi, częściej jednak w dobrej wierze, że potrafią wytargować większe ustępstwa, że skłonią rząd do radykalniejszej polityki. Nadzieja ta zawsze zawodziła i musi zawodzić, bo naprzód reakcya ma zawsze jeszcze większość w rządzie i może przeprowadzić to, co jej na rękę, a lud, nabrawszy zaufania do rządu, w którym zasiadają i jego przedstawiciele, daje się łatwiej oszukać. Powtóre, gdyby nawet reakcyoniści nie czuli się dość silni do stawiania w rządzie oporu przedstawicielom ludu, potrafią oni zawsze każdą sprawę poddać nieskończenie długiej dyskusyi, przewlec ją, odłożyć na czas nieograniczony, a korzystając z tej zwłoki, wzmocnić się o tyle, żeby raptem napaść na lud i zgnieść opozycyę. Tak bywało we wszystkich chybionych rewolucyach. Jeżeli rewolucya nie ma spełznąć na niczem, to pierwszą jej zasadą powinno być opanowanie całej machiny rządowej, usunięcie wszelkich elementów reakcyjnych, przykładne karanie wszelkich zakusów reakcyjnych, jednem słowem — wszechwładztwo ludu, dyktatura proletaryatu, w przeciwnym razie reakcya albo zaprzeda kraj najeźdzcy, jak to miało miejsce w naszych powstaniach, albo, wybrawszy odpowiednią chwilę, utopi rewolucyę we krwi ludu, jak to bywało nieraz w Europie Zachodniej.

Jakim był udział „opozycyonistów“ w Radzie, to zaraz zobaczymy. Dnia 1 grudnia wieczorem rewolucyjniejsza część spiskowców i ludu warszawskiego zgromadziła się w ratuszu i uchwaliła założenie rewolucyjnego klubu pod nazwą „Towarzystwa patryotycznego“; na prezesa wybrano zaocznie Lelewela. Nazajutrz „towarzystwo“ zgroma-

dziło się powtórnie w salach redutowych przy licznym udziale publiczności. Jeden z założycieli klubu tak opisuje tę chwilę: „Ci wszyscy, co byli przeciwni Radzie, cywilni i wojskowi, prócz tego niektórzy członkowie sejmu, adwokaci, mieszczanie, profesorowie, uczniowie, deputowani różnych oddziałów wojska, rzemieślnicy, podchorążowie, w liczbie przeszło tysiąca kilkuset napełniali od zmierzchu sale redutowe. Przybywający mieli broń w ręku. Pałasze, karabiny, pistolety zdawały się zwiastować, że co tu uchwalone zostanie, to mocą do skutku przywiedzione będzie. Mnogi lud, pobudzony, nastrojony pierwej przez emisaryuszów klubu, napełniał wraz z żołnierzami plac Krasińskich i dziedziniec przed gmachem redutowym. W środku najobszerniejszej sali, gdzie się większa część obecnych zmieścić mogła, postawiono stół długi, wązki. To była mównica. Słabe światło kilku kaganków, kilku świec zaledwo rozjaśniało pochmurne czoła, młode i stare fizyognomie, które zapał, długa bezsenność i oczekiwanie ważnych wydarzeń zarówno ożywiały, charakteryzowały. Im śmielsze wyrażenia z ust mówców płynęły, tem gorętszym to zbrojne zgromadzenie unosiło się zapałem. Im zuchwalsze podawano wnioski, tem raźniejszy okrzyk „zgoda!“ głuszył ze wszech stron zdania przeciwne, potępiał nikczemność folgującą rządowi, albo bojaźń, obracającą swe oko ku rogatkom, gdzie stał carewicz. Oklaskiem był wtedy szczęk oręża“. Mówcy przedstawiali we właściwem świetle postępowanie Rady, wyjaśniali położenie i nareszcie oddali pod głosowanie wniosek, który został przyjęty z zapałem, a w którym klub żądał rozwiązania się Rady i natychmiastowego napadu na Konstantego. Z tem żądaniem deputowani udali się na posiedzenie Rady.

W tym samym czasie, gdy spiskowcy agitowali przeciwko niej, Rada porozumiewała się z Konstantym. Wysłała ona do carewicza deputacyę z dwóch reakcyonistów, Czartoryskiego i Lubeckiego, oraz dwóch „opozycyonistów“, Lelewela i Ostrowskiego. Deputacya po długich sporach zawarła z Konstantym umowę, mocą której Konstanty zobowiązał się nie atakować Warszawy i wyjednać u cara „przebaczenie“ dla buntowników. Taki był pierwszy krok odnowionej Rady!

Członkowie Rady tylko co właśnie powrócili od carewicza, gdy nadeszła deputacya klubu. Chciano z początku uspokoić klubowców, przedstawiając im umowę z Konstantym; na to jeden z deputowanych zawołał z oburzeniem: „To są żarty! my powstawaliśmy nie dla przyjmowania łask i warunków od wielkiego księcia, ale dla zbawienia Polski. Niechaj tedy rząd nie gra komedyi, która się bardzo tragicznie skończyć może dla powstania, albo dla jego nieprzyjaciół i wątpliwych stronników“. Ten ton ostry i stanowczy, widok ludu, zalegającego ulicę, przeraziły Radę. Straciła ona zupełnie głowę i obiecała... rozpatrzeć życzenia. Nie zdobyli się spiskowi na obalenie rządu, a rząd, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, wziął się energicznie do stłumienia opozycyi. — Jest to też zjawisko, często się powtarzające w historyi ruchów ludowych. R e w o l u c y ę s i ę r o b i, a l e s i ę n i ą n i e g r o z i — to jest elementarna zasada polityczna. Grozi rewolucyą ten tylko, kto nie jest w stanie jej urządzić, — bo kto ma

siłę, ten nie grozi, lecz w razie potrzeby używa jej. Odgrażanie się rewolucyą dowodzi bezsilności grożących, a skutku zamierzonego nie osięga, bo reakcyoniści — choć mogą w pierwszej chwili stracić głowę — widząc, że groźne słowa nie są poparte czynami, ochłonąć muszą wkrótce z przestrachu i skupić się wokoło swych przewódców, by tem energiczniej, z tem większą zaciekłością rzucić się do walki z widmem rewolucyi. Chodzi tu o własną ich skórę. Jeżeli nie urwą łba „hydrze rewolucyi", to kto wie, czy hydra ta nie pożre ich, czy groźba nie zamieni się z czasem w czyn? A przytem mogą oni liczyć na poparcie wszystkich żywiołów niezdecydowanych, którym czyn rewolucyjny zaimponowałby, którzy połączyliby się ze zbrojnym ludem na barykadach, ale którzy teraz cofają się przed widmem rewolucyi.

W. Piotrowski

Podział bogactw w świetle cyfr

Urząd statystyczny Stanów Zjednoczonych ogłosił niedawno sprawozdanie, przedstawiające rozwój przemysłu amerykańskiego w ciągu dziesięciolecia od roku 1890 do 1900. Ciekawe to sprawozdanie; wszystko, co głoszą socyaliści, znajduje w niem świetne potwierdzenie. Z tego powodu warto mu się bliżej przyjrzeć. Uwzględnione w niem są wszystkie prywatne przedsiębiorstwa, których produkcya roczna przewyższa tysiąc rubli.

Gołe cyfry.

Oto są cyfry, na pozór suche, a jednak pełne rewolucyjnego znaczenia.

Liczba przedsiębiorstw
w roku 1890 355.415
„ 1900 512.585
przyrost 44 procent.

Ogólny kapitał
w roku 1890 rs. 13.050.312.972
„ 1900 rs. 19.707.261.578
przyrost 51 procent.

Liczba robotników
w roku 1890 4.251.613
„ 1900 5.310.598
przyrost 25 procent.

Ogólny zarobek robotników
w roku 1890 rs. 3.782.456.642
„ 1900 rs. 4.646.814.514
przyrost 23 procent.

Różne wydatki
w roku 1890 rs. 1.262.450.070
„ 1900 rs. 2.057.101.306
przyrost 63 procent.

Koszt materyałów
w roku 1890 rs. 10.324.088.152
„ 1900 rs. 14.699.832.060
przyrost 42 procent.

Wartość wyrobionych produktów
w roku 1890 rs. 18.744.874.566
„ 1900 rs. 26.038.503.228
przyrost 39 procent.

Zbadajmy teraz bliżej te liczby i obaczmy, w jaki sposób potwierdzają one twierdzenia socyalistów.

Ludność robotnicza.

Socyaliści twierdzą, że rozwój kapitalizmu, usuwając niezależnych producentów, to jest tych robotników, którzy są zarazem posiadaczami narzędzi pracy, i dążąc do obniżenia płacy roboczej, zmusza wielkie masy kobiet i dzieci do pracy w fabrykach i rzuca coraz większą część ludności w szeregi robotników najemnych, to jest robotników, nie posiadających własnych narzędzi pracy i zmuszonych do sprzedawania swej siły roboczej kapitalistom.

W roku 1890 ludność Stanów Zjednoczonych wynosiła 62.622.250 głów, w roku 1900 zaś 76.303.387. Przyrost ludności w ciągu dziesięciolecia wynosił więc 22 procent. Wyżej zaś widzieliśmy, że liczba robotników w tym samym czasie wzrosła o 25 procent, a więc liczba robotników wzrasta szybciej niż ogół ludności.

Innemi słowy w roku 1890 z każdych 15 mieszkańców Stanów Zjednoczonych jeden był robotnikiem fabrycznym, w roku 1900 zaś jeden robotnik przypada już na 14 mieszkańców.

Oto więc jedno twierdzenie socyalistów okazuje się słusznem.

Koncentracya kapitału.

Socyaliści twierdzą, że rozwój kapitalizmu, rujnując pomniejszych producentów, zmierza do skoncentrowania kapitału w rękach mniej licznych posiadaczy.

Wyżej widzieliśmy, że liczba przedsiębiorstw przemysłowych wzrosła o 44 procent, ogólny zaś kapitał w tym czasie o 51 procent, a więc w stosunku o wiele wyższym.

Innemi słowy, w roku 1890 na każde przedsiębiorstwo przypadał przeciętnie kapitał 36.718 rubli, w roku 1900 zaś przeciętny kapitał przedsiębiorstwa wzrósł do 38.446 rubli.

W poprzednich dziesięcioleciach liczba robotników wzrastała szybciej niż liczba przedsiębiorstw przemysłowych i w ten sposób rosła liczba robotników, zatrudnionych przez każde pojedyńcze przedsiębiorstwo. W ostatnich czasach widzimy pod tym względem zwrot. Szybki rozwój maszyn sprawia, że wielkie przedsiębiorstwa poprzestawać mogą

na stosunkowo mniejszej ilości robotników. To też widzimy, że, gdy liczba przedsiębiorstw wzrosła o 44 procent, to liczba robotników powiększyła się tylko o 25 procent. Innemi słowy, liczba robotników, którzy stają się zbytecznymi wskutek wprowadzenia maszyn, przewyższa liczbę tych, którzy znajdują zatrudnienie dzięki wzrostowi przemysłu.

Tak więc i drugie twierdzenie socyalistów, mianowicie, że kapitał coraz bardziej skupia się w nielicznych rękach, okazuje się słusznem.

Zysk i płaca robocza.

Socyaliści utrzymują, że w miarę rozwoju kapitalizmu wyzysk siły roboczej staje się coraz większym; robotnicy, którzy wytwarzają wszystkie bogactwa, otrzymują w postaci płacy roboczej coraz mniejszą część ogólnego wytworu, podczas gdy część, którą kapitaliści zagarniają w formie zysku, staje się coraz większą.

Aby sprawdzić to twierdzenie, musimy szczegółowiej nieco zbadać cyfry. Musimy znaleść, jaki był c z y s t y w y t w ó r pracy i w jakim stosunku był on dzielony między robotników najemnych a kapitalistów.

Przedewszystkiem od ogólnego wytworu odjąć należy koszt materyałów. Musimy też od tej sumy odjąć „różne wydatki". Co pozostanie, to stanowi czysty wytwór. Z tego to czystego wytworu robotnicy otrzymują płacę, co zaś pozostaje po odciągnięciu płacy, stanowi zysk kapitalistów.

Wprawdzie w rubryce „różne wydatki", obok wydatków na węgiel, oświetlenie, reparacye i t. d., mieszczą się również sumy, które należałoby zaliczyć do zysku kapitalistów. W rachunku jednak naszym zysków tych nie liczymy, co oczywiście będzie ustępstwem na korzyść naszych przeciwników.

W roku 1890.

Koszt materyałów	10.324.088.152	rs.
Różne wydatki	1.262.450.070	rs.
razem	11.586.538.222	rs.

Odjąwszy tę sumę od sumy ogólnego wytworu, wynoszącej 18.744.874.566 rs., otrzymujemy czysty wytwór 7.158.336.344 rs. Wyżej zaś widzieliśmy, że w roku 1890 płaca robotników wynosiła rs. 3.782.456.642. Odjąwszy tę sumę od sumy czystego wytworu, otrzymamy zysk kapitalistów, wynoszący rs. 3.375.879.702.

A zatem w roku 1890 robotnicy amerykańscy stworzyli wartość 7.158.336.344 rs., z której otrzymali dla siebie jako płacę 3.782.456.642 rs., pozostawili zaś kapitalistom jako zysk 3.375.879.702 rs.

Robotnicy więc w roku 1890 otrzymali nieco mniej niż 53 procent wytworzonych przez nich samych bogactw, kapitaliści zaś nieco więcej niż 47 procent wytworzonych przez robotników bogactw.

W roku 1900.

Koszt materyałów	14.699.832.060	rs.
Różne wydatki	2.057.101.306	rs.
razem	16.756.933.366	rs.

Odjąwszy tę sumę od sumy ogólnego wytworu, która w roku 1900 wynosiła 26.038.503.228 rs., otrzymamy czysty wytwór

—

9.281.569.862 rs. Jeżeli od tego czystego wytworu odejmiemy płacę robotników, która wynosiła rs. 4.646.814.514, to pozostanie rs. 4.634.755.348, jako zysk kapitalistów.

A zatem w roku 1900 robotnicy wytworzyli wartość 9.281.669.862 rs., z której otrzymali płacę, wynoszącą 4.646.814.514 rs., pozostawili zaś w rękach kapitalistów zysk wynoszący 4.634.755.348 rs.

Czysty więc wytwór podzielony został między robotników a kapitalistów na dwie prawie zupełnie równe części, różnica bowiem nie wynosi nawet ósmej części procentu.

Tym więc sposobem w roku 1900 kapitaliści otrzymali o wiele większą, robotnicy zaś o wiele mniejszą część wytworzonych bogactw niż w roku 1890. Wyzysk pracy przez kapitał wzrósł zatem w ciągu dziesięciolecia. I oto jeszcze jedno twierdzenie socyalistów okazuje się słusznem.

„Podział"

W roku 1890 z każdego wytworzonego przez siebie rubla robotnik oddawał kapitaliście 47 kop. za prawo pracowania na niego. W roku 1900 z każdego wytworzonego rubla oddawał kapitaliście 50 k. Musimy jednak pamiętać, że robotnik kupuje potrzebne mu rzeczy nie po cenach fabrycznych, lecz że w pieniądzach, które płaci za towary, mieści się także zysk kupców. Nie ulega wątpliwości, że ze swych 50 kop. robotnik oddawać musi kupcom jako zysk z jakie 10 czy 15 k. Lecz to nie wszystko. Z tych 50 k. robotnik musi jeszcze płacić około 12 k. jako komorne, które, jak wiadomo, pochłania mniej więcej czwartą część zarobku. W ten sposób robotnik z każdego wytworzonego przez się rubla otrzymuje właściwie nie więcej jak 25 kop. Pozostałe 75 kop. zagarniają kapitaliści pod różnemi nazwami, czy to jako zysk, czy procent czy komorne i t. p. Jest to najbardziej umiarkowane obliczenie, jakie tylko można zrobić. Gdybyśmy doliczyli podatki, które robotnik płaci czy to wprost, czy pośrednio, w cenie towarów, to rachunek wypadłby jeszcze gorzej dla robotnika.

W taki to sposób w dzisiejszem społeczeństwie kapitalistycznem odbywa się podział bogactw. A jednak obrońcy kapitalizmu mają jeszcze na tyle bezczelności, że zarzucają nam dążenie do „podziału" bogactw. Ależ my właśnie dążymy do zniesienia tego „podziału" pomiędzy wytwórcami a pasożytami.

Spadek płacy roboczej.

Oto co robotnicy Stanów Zjednoczonych zrobili w ciągu tych lat dziesięciu.

Wytworzyli wszystkie środki własnego utrzymania.

Stare maszyny i narzędzia pracy w miarę zużywania zastąpili nowemi.

Do kapitału, należącego do ich wyzyskiwaczy, dodali przeszło sześć miliardów (czyli sześć tysięcy milionów) rubli w postaci budynków maszyn i t. p.

Przedewszystkiem zaś dali kapitalistom conajmniej czterdzieści miliardów rubli w postaci zysku.

A przy tem wszystkiem robotnicy są biedni! I nietylko biedni, lecz biedniejsi niż przed dziesięciu laty. W tym samym czasie, kiedy takie olbrzymie bogactwa stwarzali dla kapitalistów, ich własne położenie pogorszyło się.

W ostatnich czasach w Stanach Zjednoczonych upowszechniło się przekonanie, że płaca robocza podnosi się, co, nawet gdyby było prawdą, niewielką stanowiłoby pociechę dla robotników, jednocześnie bowiem drożyzna staje się tam coraz większą. Tymczasem sprawozdanie urzędu statystycznego zadaje kłam temu przekonaniu i świadczy, że położenie robotników amerykańskich pod każdym względem pogorszyło się w ciągu tego dziesięciolecia. Nietylko bowiem zmniejszył się udział ich w czystym wytworze, nietylko wskutek drożyzny trudniej im jest utrzymać się, lecz nadto płaca ich faktycznie się zmniejszyła.

Oto cyfry.

W roku 1890 zatrudnionych było w przemyśle robotników 4.251.613. Ogólny ich zarobek wynosił 3.782.456.642 rs. Przeciętny więc zarobek pojedyńczego robotnika wynosił rs. 8-9 kop. 66 rocznie.

W roku 1900 robotników fabrycznych było 5.310.598. Ogólny ich zarobek wynosił 4.646.814.514 rs. Przeciętny więc zarobek roczny każdego robotnika równał się rs. 875 kop. 8.

Różnica to wprawdzie niewielka, ale zawsze jest to różnica na niekorzyść robotnika, jest to jego strata. A gdy weźmiemy pod uwagę wzrastającą drożyznę, strata ta nabiera poważnego znaczenia.

Wszystko, cośmy powyżej mówili o pięciu milionach robotników fabrycznych, bez wątpienia zastosować można także do miliona robotników kolejowych, do czterech czy pięciu milionów robotników pracujących na roli, w górnictwie oraz w wielkich i małych przedsiębiorstwach handlowych. Wszyscy oni ze swemi rodzinami stanowią ogromną większość ludności. Te miliony żyją w niedostatku na to, aby stwarzać coraz większe, bajeczne bogactwa dla uprzywilejowanej mniejszości.

Czy jest wyjście z tego położenia?

Wyjście jest — i jedno tylko. Trzeba, aby ziemia, kopalnie, koleje, fabryki i wszystkie narzędzia produkcyi, stanowiące dziś własność prywatną, stały się własnością ogółu. Wówczas dopiero, i tylko wówczas, zniknie uprzywilejowana mniejszość, zagarniająca owoc cudzej pracy, a ci, którzy wszystkie bogactwa stwarzają, przestaną cierpieć niedostatek.

Worker.

O TEORYI DARWINA.

Jak powstało życie na ziemi? Jakim sposobem wśród piasków i martwych głazów powstały rośliny, które rosną, kwitną i nasiona wydają, a z malutkiego nasienia potem znowu drzewo potężne wyrasta? Skąd się pośród tych roślin, które, raz korzeniem utkwiwszy w ziemi, już nigdy się z miejsca nie ruszają, wzięły przeróżne zwierzęta, które łażą, biegają, skaczą, pływają po wodzie, latają w powietrzu, a niektóre z nich mają oczy jak człowiek i cztery kończyny jak człowiek, i głos prawie do ludzkiego głosu podobny, i całą budową swego ciała, a czasem i roztropnością swoich postępków poniekąd człowieka przypominają, jak gdyby z nim pokrewne były? A przedewszystkiem — skąd się wziął człowiek?

Oto są pytania, nad któremi sobie ludzie już od prastarych czasów wszędzie i zawsze głowę łamali. Już pierwotni dzicy ludzie, co jeszcze swoich sąsiadów maczugami zabijali i pożerali, jednak już byli na tyle, rzekłbyś, naukowo usposobieni, że starali się zaspokoić swoją ciekawość pod owym względem, wymyślając różne prostacze baśnie, jakoby życie na ziemi powstało było przez czary jakichś bożków, czy duchów. Ale były to tylko dowolne pomysły wyobraźni, bez żadnych dowodów, nie była to więc rzeczywista nauka.

Ale nawet znacznie, znacznie później, kiedy już u różnych narodów na ziemi, u narodów o skórze białej, żółtej i brunatnej, nauka do wysokiego rozkwitu doszła, jednak owych pytań bynajmniej nie rozwiązano. Starogreccy mędrcy naprzykład, chociaż już umieli myśleć naukowo i badać zjawiska przyrody, jako odpowiedź na owe pytanie, głosili tylko pomysły, wprawdzie bez porównania rozsądniejsze, aniżeli dziecinne baśnie owych dzikich, a czasem nawet już nader zbliżone do prawdy, ale również na bardzo nieścisłych dowodach oparte. Bo też są to kwestye nadzwyczaj trudne do rozwiązania naukowego; jakże tu czegoś dowieść, tak, aby wszystkich przekonać, że było tak a nie inaczej? Łatwo obserwować (badać) coś, co się dzieje teraz, przed naszemi oczyma; ale jakże obserwować coś, co się działo kiedyś, w zamierzchłych czasach, kiedy jeszcze ani gazet ani książek nie było, sto tysięcy lat temu, miliony lat temu? Jakże o tem powiedzieć coś lepszego nad dowolne pomysły, w które jeden może wierzyć, a drugi nie wierzyć, jak się komu lepiej podoba? Wszak nie mamy na to żadnego naocznego świadka, i nigdy nie będziemy mieli!

Na pierwszy rzut oka wydaje się więc, jakoby naukowe rozwiązanie kwestyi: skąd się wzięło na ziemi życie roślinne i zwierzęce, a przedewszystkiem życie ludzkie — było zadaniem na zawsze nierozwiązalnem; atoli po licznych próbach, dokonanych przez uczonych róż-

nych narodów, trudne to zadanie w roku 1859 rozwiązał, przynajmniej częściowo, pewien uczony angielski, niezmiernie pilny i sumienny; nazywał się on Karol Darwin. Jako student, Darwin zajmował się teologią, ale później przerzucił się do przyrodnictwa. Kiedy już młody Darwin zaskarbił sobie pewne uznanie jako zdolny przyrodnik, pewien angielski kapitan okrętu właśnie urządzał podróż naokoło kuli ziemskiej, poświęconą celom naukowym; zaprosił on Darwina do udziału w tej wyprawie. Okręt ów po drodze zatrzymywał się u przeróżnych wybrzeży amerykańskich, australijskich, azyatyckich i afrykańskich, a Darwin wszędzie szedł na ląd i starannie badał rośliny i zwierzęta, które się tam znajdują, a które po części bardzo się różnią od naszych europejskich. Ogromne też przywiózł ze sobą do Anglii zbiory roślin suszonych, owadów w spirytusie, motyli zabitych i na szpilkach rozpiętych, skór i szkieletów zwierząt czworonożnych, i tak dalej.

Wróciwszy z tej podróży naokoło świata, Darwin zaczął porządkować swoje zbiory i liczne spisane podczas podróży spostrzeżenia. I otóż całe te ogromne zasoby poszczególnych spostrzeżeń zaczęły się składać na coraz mocniejsze stwierdzenie jednej myśli, która się Darwinowi już podczas podróży nasunęła: mianowicie, że między dwoma lub kilkoma podobnymi do siebie gatunkami roślin lub zwierząt niema stałych granic, tylko znajdują się odmiany przejściowe takie, że jeden gatunek powoli, stopniowo, nieznacznie w drugi przechodzi, zupełnie jak gdyby jeden gatunek powstał był z drugiego. Bardzo często zdarzają się naprzykład tego rodzaju wypadki: przypuśćmy, że w jakimś lesie rosną tuż obok siebie róże białe i róże ciemno-czerwone. Kto nie zna róż, ten, patrząc na te kwitnące krzaki, może pomyśleć, że są to dwa zupełnie różne gatunki krzaków, z których jeden od początku świata zawsze takie jak teraz miał kwiaty czerwone, jak krew, drugi zaś zawsze miał kwiaty bialuteńkie jak śnieg. Tymczasem kto wędruje po różnych lasach, ten w jakimś innym lesie znajdzie róże jasno-czerwone, w innym znowu lesie róże już więcej różowe niż czerwone, gdzieś znowu za górami róże jasno-różowe, znowu gdzieindziej róże bladawo-różowe, gdzieś nad strumykiem białawo-różowe, a nad innym strumykiem różowo-białe. Jeśli z tych wszystkich różnobarwnych róż po jednej urwiemy i złączymy je w bukiet, to możemy je tak uporządkować, aby zawsze każda róża do swojej sąsiadki była aż do niepoznania podobniuteńka. A wtenczas już nie będziemy wierzyli, jakoby białe róże i czerwone róże rosły na dwóch zupełnie różnych krzakach, tylko raczej będziemy skłonni do mniemania, że od jednego gatunku dzikich róż pochodzą wszystkie inne odmiany. A takie właśnie przejściowe odmiany Darwin odnalazł u przeróżnych roślin i zwierząt. Otóż istnienie tych odmian przejściowych Darwin tłómaczył sobie tak, że te gatunki, między którymi istnieją odmiany przejściowe nie od początku świata jedne niezależnie od innych obok siebie istniały, tylko że z jednego gatunku stopniowo rozwinął się inny gatunek, chociaż działo się to powoli, nieznacznie, tak że taka przemiana mogła trwać tysiąc lat dłużej. Jednak jeśli rzeczywiście tyle czasu potrzeba było na taką

przemianę, to trudno było ją sprawdzić, bo któż z nas widział na własne oczy, co się działo tysiąc lat temu? Ale Darwin spostrzegł, że są wypadki, w których zupełnie podobne przemiany odbywają się w daleko krótszym czasie, a mianowicie dzieje się to wtedy, gdy człowiek dla swojego pożytku lub dla swojej przyjemności hoduje pewne rośliny lub zwierzęta, i własnem staraniem wytwarza nowe odmiany tych roślin i zwierząt, takie, jakie jemu są najwięcej przydatne lub najlepiej się podobają. Właśnie w Anglii hodowla bydła, jako też koni i psów, a także drobiu i różnego ptactwa, doszła do wysokiego wydoskonalenia, a przytem hodowcy zwykle spisują dość dokładne sprawozdania ze swoich zabiegów, i tego rodzaju sprawozdania są często drukowane. Można więc dokładnie stwierdzić, dajmy na to, że w 17. wieku jakiś anglik starał się przyzwyczaić swoje psy myśliwskie do pewnego szczególnego sposobu tropienia zwierzyny, a te psy, z którymi mu się to udało, kojarzył między sobą i hodował ich szczenięta; dzisiejsze zaś potomki owych psów ten sposób tropienia już na świat przynoszą, jako wrodzony instynkt. A zatem człowiek własnym wysiłkiem wytworzył sobie właśnie taką rasę psów, jaka dla niego pożądaną była. W innych znów wypadkach hodowcom chodziło o to, aby mieć owce o szczególnie długiej i miękkiej wełnie, lub krowy dające dużo mleka, lub szczególnie zwinne konie do wyścigów, albo też gołębie czy kanarki, wyróżniające się od zwyczajnych gołębi, lub od zwyczajnych kanarków przez jakieś szczególne ubarwienie piór, lub jakiś dziwaczny czubek na główce, itd.; a po krótszym czy dłuższym czasie, wszyscy ci hodowcy dopięli swego. Zmienili pierwotną naturę zwierzęcia i wytworzyli nową rasę zwierząt, właśnie taką, jaka odpowiadała ich potrzebie, czy też kaprysowi. Czasem na taką przemianę trzeba było czekać kilkadziesiąt lat, czasem, u drobnych zwierząt, tylko kilkanaście. Najszybciej zaś przemiany takie odbywają się w ogrodnictwie. Zręczny ogrodnik, jeśli tylko ma dosyć czasu i dosyć ziemi, czasem zaledwie kilka lat potrzebuje, aby wytworzyć z jakiegoś kwiatu nową odmianę, nieznaną dotąd, a o wiele piękniejszą od pierwotnej; przytem nieraz z jednej rośliny wytwarza cały szereg różnych odmian, np. z dzikiej rośliny, mającej kwiaty żółte, wytwarza odmiany o kwiatach białych, ponsowych i różowych. Tak samo, hodując owoce, ogrodnicy starają się wytworzyć coraz nowe odmiany roślin, o owocach coraz liczniejszych, większych i smaczniejszych; a i to im się nieraz udaje. Różnice zaś między temi sztucznie przez człowieka wytworzonemi odmianami, o których wiemy, że od jednego i tego samego gatunku pochodzą, są nieraz znacznie większe, aniżeli różnice między dwoma gatunkami dziko rosnących roślin, lub dzikich zwierząt. Gdybyśmy więc te sztucznie przez nas samych wytworzone odmiany napotkali gdzieś w lesie, nie wiedząc, jak powstały, nazwalibyśmy je nie odmianami, tylko *gatunkami*. A zatem nasza własna praca dowiodła, że jedne gatunki mogą pochodzić od drugich gatunków — że więc *gatunki są zmienne*.

To jest rzecz niezmiernie ważna. Bo jeżeli gatunki są zmienne, wtenczas dopiero rozwiązanie kwestyi: jak powstało życie na ziemi? — staje się możliwem. Albowiem wtenczas nie potrzebujemy sobie już

łamać głowy nad tem, jak mogły z martwych piasków czy głazów za jednym zamachem powstać istoty tak doskonałe w swoim rodzaju, jak sosna lub dąb, jak orzeł lub koń, lub człowiek. Przeciwnie, jeżeli gatunki są zmienne, to możemy sobie przedstawić, że może niegdyś, miliony lat temu, z martwej grudy pomaluteczku powstawać zaczęły jakieś rzeczy, czy istoty, zaledwie troszeczkę dopiero ożywione, z tych znów powstawały inne jestestwa, bardzo jeszcze do nich podobne, ale już troszkę wyraźniej pokazujące oznaki życia; z tych znowu inne, już zdaleka, zdaleka przypominające dzisiejsze rośliny i zwierzęta; z tych znowu rośliny i zwierzęta już trochę doskonalsze, i tak dalej, i tak dalej, aż nareszcie z jakichś zwierząt stosunkowo już bardzo doskonałych i już bardzo do człowieka podobnych zwolna powstał — człowiek.

Trudność leży tylko w tem: Przypuśćmy, że rzeczywiście tak było — co spowodowało ten cały rozwój? Jeżeli tak było, dlaczego tak było? Dlaczego martwe bryły nie pozostały martwemi bryłami, dlaczego zaczęły się zwolna ożywiać, dlaczego później ten rozwój coraz dalej i dalej się posuwał? A jak się o tem prawdy dowiedzieć, kiedy to wszystko takie dawne, dawne dzieje? Wszak jeśli to się działo, to działo się już, kiedy jeszcze ludzi nie było na ziemi; jakże więc ludzie zbadać mogą, jak i dlaczego to się działo?

Ano, jeśli podobne zmiany dzieją się za naszych czasów po stajniach i ogrodach, dzięki świadomym wysiłkom hodowców i ogrodników, to może bliższe zbadanie pracy tych ludzi da nam najlepszą wskazówkę, jak zrozumieć owe prastare dzieje.

Otóż Darwin postawił sobie pytanie: jakim sposobem hodowcy i ogrodnicy wytwarzają te nowe odmiany? Czytając sprawozdania i książki, wypytując się hodowców, ogrodników i przeróżnych wiejskich gospodarzy o ich doświadczenia, doszedł do wyniku, że najważniejszym ich środkiem do otrzymania nowych, polepszonych odmian, lub ras jest sztuczny dobór. Zaraz zobaczymy, co to znaczy. Przypuśćmy, że pasterz jakiś ma w swojej trzodzie owce różnobarwne, i brunatne, i białe, i pstrokate, a pragnie mieć same tylko białe; wtenczas hodować będzie wyłącznie takie jagnięta, które zostały spłodzone przez białego barana z białej owcy; a jeśli mimo tego zjawi się jakieś jagnię czarne lub pstrokate, to je zawczasu usunie z trzody. Albo jeśli roślina jakaś wydaje kwiaty białe i blado czerwonawe, a ogrodnik pragnie mieć wyraźnie czerwone, to będzie się starał otrzymać nasiona wyłącznie z tych kwiatów, które okazują stosunkowo najwyraźniejszy odcień czerwonego koloru; używając wyłącznie takie nasiona do zasiewu na przyszły rok, otrzyma już bardzo mało kwiatów czysto białych, natomiast dużo wyraźnie czerwonawych; z tych znowu do hodowli nasion wybierze kwiaty stosunkowo najczerwieńsze, i tak dalej. W ten sposób, jeśli mu się poszczęści, w ciągu kilku lat może otrzymać rośliny o jaskrawo czerwonych kwiatach. Albo jeśli rolnik pragnie mieć pszenicę o dużych, ciężkich ziarnach, to z całego swego plonu najcięższe ziarna na zasiew przechowuje; z nowego plonu zaś, który wydaje ten zasiew, znowu największe i najcięższe ziarna na zasiew używa, i tak

dalej. Albo znowu, jeśli myśliwy pragnie wyhodować rasę psów, szczególnie uzdolnionych do jakiegoś specyalnego sposobu tropienia zwierza, to różne psy uczy tego sposobu, ale tylko te psy i suki, u których najlepiej poskutkowała ta nauka, kojarzy między sobą i hoduje ich szczenięta, reszty zaś psów się pozbywa; z owych szczeniąt zaś znowu używa do dalszej hodowli tylko te, które, dorosłszy, okazują się najprzydatniejsze dla jego celów. Albo znowu gospodarz, pragnący mieć w swoim sadzie jak najsłodsze jabłka, do szczepienia młodych drzewek używa pączki lub gałązki wyłącznie tylko jednej jabłoni, a mianowicie tej, która najsłodsze owoce wydała. Słowem, aby wyhodować rasy roślin lub zwierząt o pewnych pożądanych własnościach, człowiek postępuje według takiej zasady: kojarzyć między sobą wyłącznie te jednostki, które ową pożądaną własność stosunkowo w najwyższym stopniu posiadają, i hodować ich potomstwo; w każdem zaś następującem pokoleniu powtarzać taki sam sztuczny dobór.

Darwin wpadł na myśl, że może i tam, gdzie ludzka ręka nie sięga, coś podobnego się dzieje. Wszak rośliny i zwierzęta są zazwyczaj tak wybornie przystosowane do zachowania życia i rozmnażania się w tem właśnie otoczeniu, w którem żyją, jak gdyby istotnie ktoś je był umyślnie dobrał, czy przystosował. Lis naprzykład jest zwierzęciem zwinnem i chytrem, które wybornie umie się przyczaić i cichuteńko łazić pod krzakami; przytem ma bystre oczy i ostre kły i pazury. Jest więc wybornie przystosowany do polowania na zające. Zając znowu, nietylko że ma również bystre oczy i także wcale ostre pazurki i ząbki, ale przedewszystkiem ma niesłychanie szybkie nogi; jest więc doskonale przystosowany do tego, aby mimo całej drapieżności lisa, umykać przed nim, kpić sobie z niego i rozmnażać się jakby jemu na przekór. Tak samo koty są mądre i zwinne i dobrze widzą pociemku, więc też wybornie umieją polować na myszy; ale zato myszy tak cichutko umieją się suwać po podłodze i tak szybciutko czmychać, że mimo wszelkiej mądrości kotów wciąż jeszcze roi się od myszy po wszystkich piwnicach. Otóż dlaczego myszy są tak zwinne? Darwin to tłómaczy tak: Przypuśćmy, że niegdyś było gdzieś na ziemi dużo myszy, a kotów nie było; wtenczas może owe myszy jeszcze nie były tak zwinne jak dzisiaj; bo nie mając zwinnych wrogów, same też nie potrzebowały zwinności. Ale skoro później zjawiły się koty, to nastał dla myszy okropny czas; koty je wyłapywały i pożerały bez litości. Z mnogich tysięcy myszy ocalało może zaledwie kilka; a ocalały te, które albo zgóry już były zwinniejsze od innych, albo pod naciskiem ciągłego niebezpieczeństwa nauczyły się niebywałej dotąd zwinności. A zatem następne pokolenie myszy składało się już wyłącznie z potomstwa owych kilku ocalałych myszy, najzwinniejszych ze wszystkich; te młode myszy zaś w znacznej mierze odziedziczyły wyjątkową zwinność swoich rodziców. Tak więc owa zwinność, która u poprzedniego pokolenia myszy była rzadkim wyjątkiem, u tego nowego pokolenia stała się niemal regułą. To znaczy, że teraz znowu dla kotów

nastał zły czas; albowiem o ile one tymczasem już przywykły do pożerania myszy, to powiększona zwinność myszy naraża je na głód. A więc stosunkowo niedołężniejsze i powolniejsze z kotów zaczynają licznie z głodu zdychać, nim jeszcze dorosły i spłodziły potomstwo, przy życiu pozostają tylko koty szczególnie zręczne i zwinne, które zdołały przystosować się do zwiększonej zręczności myszy; te zaś szczególnie zręczne koty pozostają przy życiu i rodzą liczne potomstwo, które ich zręczność odziedzicza. Więc znowu między myszami poczyna się okrutna rzeź, znowu tylko najzwinniejsze ze zwinnych ocaleć potrafią; teraz znowu dla kotów pogoń na myszy staje się trudniejszą, niedołężne giną z głodu, przy życiu zostają tylko koty najzręczniejsze itd. Tak więc koty wciąż się doskonalą w łapaniu myszy, a myszy w uciekaniu. Jeśli przypuścimy, że tak się nieustannie działo od kilku tysięcy, ba od kilkuset tysięcy lat, to łatwo zrozumiemy, jakim sposobem powstały dzisiejsze myszy, które z tak zdumiewającą szybkością zmykają od nory do nory, że prawie już oko ludzkie śledzić za niemi nie potrafi, oraz dzisiejsze koty, tak pewne swego mistrzostwa myśliwskiego, że ile razy złapały mysz, to się nią bawią „jak kot z myszką“, ufając, że chociaż dziesięć razy wypuszczą swego rannego jeńca, to go zawsze na nowo pochwycą, tym sposobem przedłużając jego męczarnie, a swoją rozkosz. Bo taka jest zwierzęca natura, że każdy zwierz jest dobrym dla swoich, a okrutnym dla obcych.

To samo, co zwierząt, tyczy się i roślin. I one są wybornie przystosowane do otoczenia swojego. W naszym kraju jak wogóle w krajach o klimacie zimnym lub umiarkowanym, co rok na jesień trawy i zioła więdną, co zimę marzną, bo jeśli nawet cała roślina zmarznie, jeżeli zmarznie nawet korzeń, to jednak przeżyją nasiona, rozrzucone przez wiatr het daleko po łąkach, pastwiskach i lasach. A skąd się ta wytrwałość nasion wzięła? Darwin to tak tłómaczy: odkąd klimat nasz zaczął się stawać takim jak dzisiaj, odkąd corocznie zaczęła się pojawiać zima, odtąd te rośliny, których nasiona były czułe na zimno, poprostu wymierały, pozostały zaś tylko te, których nasiona były wytrwałe na zimno; i tak dalej.

Otóż ten cały szereg zjawisk, sprowadzający się do tej reguły: *że rośliny i zwierzęta nie przystosowane lub mniej przystosowane do otoczenia giną bez potomstwa, najbliższe pokolenie zaś składa się wyłącznie z potomków jednostek najlepiej przystosowanych* — ten cały szereg zjawisk Darwin, porównując go do sztucznego doboru pożytecznych roślin i zwierząt przez człowieka, nazywa *doborem naturalnym*. Wedle słów Darwina, dobór naturalny jest „najważniejszym, lecz nie jedynym“ czynnikiem rozwoju gatunków, tj najważniejszym z owych czynników, które sprawiają, że na ziemi i rośliny i zwierzęta rozwijają się coraz dalej, a zatem też sprawiły, że w ciągu milionów lat z owych najniższych, najprościej zbudowanych żywych istot, które się prawdopodobnie najpierw pojawiły na ziemi, rozwinęły się rośliny i zwierzęta o coraz więcej zawikłanym ustroju, a nareszcie i człowiek.

Na to zaś, że istotnie nie zawsze te same gatunki roślin i zwierząt na ziemi żyły, lecz dzisiejsze rośliny i zwierzęta rozwinęły się z dawniejszych o nieco prostszej budowie, a te z jeszcze dawniejszych, na to mamy i inne dowody. Mianowicie geolodzy, tj. uczeni badający kamienie i skały, już dawno dowiedli, że różne rodzaje skał powstały w różnych okresach historyi ziemi, najczęściej w ten sposób, że spodnie warstwy mułu, nagromadzonego na dnie morza, jezior i rzek, pod naciskiem świeższych, górnych warstw powoli twardniały i stawały się skałą. Wiemy dzisiaj już bardzo dokładnie, w jakim porządku — jedne po drugich — powstały różne pokłady skał. Otóż we wnętrzu skał bardzo często znajdują dziwne jakieś kształty z kamienia, jak najżywiej przypominające rośliny lub zwierzęta; oddawna dowiedzionem jest, że te tak zwane skamieniałości, są to rzeczywiste pozostałości pradawnych roślin i zwierząt, powstałe w ten sposób, że do próchniejących na dnie wody pni, łodyg lub liści roślinnych, czy też skorup lub szkieletów zwierzęcych wsiąkał muł i, twardniejąc a nareszcie stając się kamieniem, przyjmował ich kształty. Otóż znaleziono już bardzo dużo takich skamieniałości, tyle, że całe muzea niemi zapełniono, a zawsze się okazywało, że każdy pokład skał zawiera skamieniałości nieco odmienne, a najstarsze pokłady zawierają inne skamieniałości, niż najnowsze warstwy; prawda, że najstarożytniejsze ze wszystkich pokładów skał są te, w których już wszelkie ślady skamieniałości się zatarły. Otóż w najstarszych pokładach, które wogóle jeszcze zawierają jako tako dobrze zachowane skamieniałości, znajdują się już i owady, i raki, i ryby, ale jeszcze niema ani płazów, ani ptaków, ani ssawców; nieco później zjawiają się pierwsze płazy, a daleko później jeszcze pierwsze ptaki i ssawce, ale jeszcze nie takie, jak dzisiaj; potem dopiero zjawiają się ssawce już więcej do dzisiejszych podobne, w pokładach stosunkowo już bardzo późno powstałych zjawiają się kości małpie, a dopiero w najnowszych pokładach znajdujemy i kości ludzkie. Przytem bardzo często skamieniałości znajdujące się w następujących po sobie warstwach skał tworzą, zestawione ze sobą, całkowity zbiór form przejściowych, tak że dokładnie poznać można, jak w biegu czasu z jednego gatunku powoli, przez nieznaczne odmiany stopniowo powstał inny gatunek. W taki sposób naprzykład dowiedziono, że nasze dzisiejsze konie pochodzą od zwierząt niewiele większych od królika, a przytem mających u każdej nogi pięć palców, a u każdego palca drobne, podobne do pazura, kopyta; powoli, powoli u potomków tych zwierząt najprzód pierwszy i piąty palec, a potem także i drugi i czwarty palec zaczęły maleć i niknąć, środkowy zaś palec przyodział się w coraz wyraźniejsze, duże i mocne kopyto, a jednocześnie całe zwierzęta stawały się coraz większe i większe. Widocznie konie coraz lepiej przystosowywały się do tego życia, które dziś jeszcze w stepach środkowej Azyi prowadzą stada dzikich koni: do biegania po szerokich, otwartych płaszczyznach i karmienia się trawą.

II.

Ale Darwin sam nie był zdania, jakoby rozwój wszystkich roślin i zwierząt, przedewszystkiem zaś rozwój człowieka, polegał wyłącznie

na doborze naturalnym, tj. na ocaleniu jednostek najlepiej przystosowanych do otoczenia, i na bezdzietnej śmierci reszty jednostek. Już u roślin napotykamy na trudności. Jeśli jakaś roślina jest tak zbudowaną, że potrafi wytrzymać i deszcz, i posuchę, i zimę, to można sobie to tłómaczyć doborem naturalnym; ale jak sobie tłómaczyć piękność kwiatów i cudne ich wonie? Otóż już dawno przed Darwinem wiedziano, że nasiona roślin powstają w ten sposób, iż kwiaty zawierają zarodki żeńskie i zarodki męzkie, a dopiero po zapłodnieniu przez zarodek męzki z innego kwiatu pochodzący, zarodek żeński przeradza się w nasienie. Darwin zaś stwierdził, że prawie u wszystkich roślin, które mają kwiaty barwne lub pachnące, dla zapłodnienia niezbędnem jest pośrednictwo motyli lub innych skrzydlatych owadów, które, latając z jednego kwiatu na drugi, mimowoli i bezwiednie noszą z sobą zarodki męzkie. Ponieważ zaś te owady lubią barwy i wonie, więc im piękniejszym i wonniejszym był jakiś kwiat, tem większe istniało prawdopodobieństwo, że w sam czas jeszcze zwabi on do siebie jakiegoś motyla, który przedtem już na innym kwiecie tego samego gatunku siedział, że więc zostanie zapłodnionym i zrodzi nasiona. Jest to więc coś podobnego do doboru naturalnego, a jednak coś innego; bo w tym wypadku nie najwytrzymalsze, ale najpiękniejsze istoty rodzą potomstwo. U samych motyli zaś znowu inaczej się dzieje. Wiadomo, że motyle, raz przybrawszy postać skrzydlatą, żyją bardzo krótko, niektóre gatunki zaledwie kilka dni; aby więc taki gatunek motyli nie wymarł, trzeba, żeby w ciągu tych kilku dni samiec i samica, latając po powietrzu, znalazły się i skojarzyły. Otóż wiemy już, że motyle lubią kolory; wiemy również, że samiec a samica tego samego gatunku motyli, spotkawszy się, z widoczną rozkoszą tańczą około siebie w powietrzu, zanim się skojarzą; a zatem łatwo zrozumiemy, że im motyl ma piękniejsze kolory na skrzydłach, tem łatwiej znajdzie sobie samicę, nim umrze. Tutaj więc mamy przed sobą już zupełnie inny rodzaj doboru, niż ów dobór naturalny najzwinniejszych myszy przez to, iż mniej zwinne pożera kot. U motyli najpiękniejsze jednostki pozostawiają po sobie potomstwo, podczas gdy inne, mniej powabne dla płci drugiej, umierają bezdzietnie. Coś podobnego dzieje się u ptaków, tylko że ptak, to już stokroć rozumniejsze stworzenie, niż motyl. To też u ptaków młode ptaszyny, zupełnie jak ludzkie dzieci, pozostają pod troskliwą opieką swoich rodziców, aż póki dorosły i same latać umieją; więc takich ptasząt, które giną przedwcześnie, jest już stosunkowo bardzo niedużo. Przytem ptaki najczęściej żyją gromadnie, pomagają sobie nawzajem i wspólnie się bronią od wszelkich wrogów, prawie jak gromada ludzi spokrewnionych lub zaprzyjaźnionych między sobą. Weźmy naprzykład papugi; są to ptaki wybornie uzbrojone w twardy dziób i zwinne pazury, a przytem stosunkowo bardzo mądre i żyjące gromadnie. Zachowują się one między sobą bardzo solidarnie, tak że gdy orzeł lub sęp napada na jedną papugę, to natychmiast cała gromada dziobami go bije; to też bardzo rzadko papuga jakaś zostaje pożartą, a natomiast bardzo często się zdarza, że papugi po kilkudziesięcioletniem życiu umierają na starość, zupełnie jak ludzie. Jeśli nawet

jakaś młoda ptaszyna jest trochę głupszą i niedołężniejszą od innych, to już ją rodzice, lub starsi towarzysze jakoś przypilnują, aż póki dorośnie. Natomiast u takich stworzeń, solidarnych między sobą, inteligentnych i swobodnych, ogromną rolę odgrywa ów inny dobór, który poznaliśmy u motyli: dobór najpiękniejszych lub najponętniejszych dorosłych jednostek jednej płci przez jednostki płci drugiej — *dobór płciowy*. Istotnie co wiosnę, kiedy się w ptakach przebudza żądza miłości, ptaki samce robią jak największe wysiłki, aby się czemprędzej spodobać jakiejś samicy. U jednych gatunków samce rozpościerają pięknie ubarwione pióra, nieraz lśniące się metalicznie, jak u pawi; u innych gatunków samce wyprawiają różne tańce, aby pokazać swoją zręczność, lub też wywijają koziołki w powietrzu; u innych gatunków znowu, jak u słowików, skowronków, zięb, samiec popisuje się swoim śpiewem, aby tym sposobem zwabić do siebie jakąś samicę. Przytem u ptaków bardzo często bywa tak, że samic jest daleko mniej niż samców. A więc mimo wszelkiego popisywania i zalecania się, nie każdy samiec znajduje samicę dla siebie; przeciwnie, samce stosunkowo brzydkie, słabe lub niedołężne skazane są na życie samotne aż do przyszłej wiosny, a może nawet na zawsze. Całe więc pokolenie młodych ptasząt, zrodzonych w ciągu wiosny i lata, składa się wyłącznie z potomków owych tylko samców, które urodą swoją, lub zręcznością lub pięknym śpiewem zdołały sobie zaskarbić łaski jakiejś samicy. A ponieważ od tysięcy lat ten dobór najponętniejszych samców przez samice powtarza się co wiosnę, więc łatwo zrozumieć możemy, że ten *dobór płciowy* potężnie się przyczynił do coraz wyższego rozwoju i piękności ptaków, i ich zwinności i zręczności, i ich śpiewu, a nawet i innych zdolności umysłowych.

Otóż na ogół biorąc, im więcej jakiś gatunek zwierząt bystrością umysłu, towarzyskością i solidarnością zbliża się do człowieka, tem stosunkowo mniej u niego działa *dobór naturalny*, chociażby dlatego że mądre, a solidarne między sobą zwierzęta lepiej umieją ochronić swoje młode przed przedwczesnem pożarciem. Natomiast, im lepiej jakieś zwierzęta umieją bronić siebie i swoje młode, a im wyższe przytem posiadają zdolności umysłowe, tem więcej u nich znaczy *dobór płciowy*. Przytem im samica jest inteligentniejszą, im więcej posiada zdolności umysłowych, zbliżających ją już nieco do ludzkiej kobiety, tem łatwej potrafi rozróżnić samca brzydkiego od pięknego, głupiego od mądrego, niedołężnego od zręcznego. A i odwrotnie samiec, im wyżej stoi umysłowo, tem łatwiej będzie w stanie przejąć się zamiast żądzą płci żeńskiej wogóle, osobistem przywiązaniem do jakiejś poszczególnej samicy, gardząc innemi.

Ale na tem jeszcze nie koniec. I teorya doboru naturalnego, i teorya doboru płciowego potrafią tylko wytłómaczyć, dlaczego, *jeżeli raz się pojawiły* jednostki szczególnie dobrze przystosowane do otoczenia, czy też szczególnie ponętne dla płci drugiej, właśnie takie jednostki rodzą liczne potomstwo; ale ani teorya doboru naturalnego, ani teorya doboru płciowego nie jest zdolną wytłómaczyć, *dlaczego wogóle zjawiają się* jednostki od swoich rodziców i od swojego

rodzeństwa odmienne? Ta kwestya, to właściwy punkt ciężkości całej teoryi rozwoju.

Otóż Darwin sam dobrze wiedział, że na tę kwestyę nie znalazł żadnej wyczerpującej odpowiadzi Wprawdzie już sześćdziesiąt lat przed Darwinem spróbował rozwiązać tę kwestyę wielki francuski uczony Jan L a m a r c k, który wierzył w zmienność i rozwój gatunków, ale teoryi doboru nie znał. A mianowicie Lamarck głosił, że zwierzęta, jeśli się dostają do jakiegoś nowego otoczenia (naprzykład z wody na ląd lub odwrotnie), to uczą się przez doświadczenie, jak się w tem nowem otoczeniu zachować trzeba, mniej więcej tak, jak człowiek uczy się pływać, lub jak chłop jeśli się przesiedli z płaszczyzny do okolicy górskiej, pomału uczy się chodzić po górach, a nawet wspinać się po skałach, jak rodowity góral. Według Lamarcka, jeśli zwierzęta przez szereg pokoleń wciąż ćwiczyły się tak w zdolnościach potrzebnych im do życia w ich nowem otoczeniu, to nareszcie te ich nowe zdolności stawały się dziedzicznym, w r o d z o n y m przymiotem ich potomków. Tymczasem Darwin nie przeczył wprawdzie, że tu i owdzie w przyrodzie poniekąd się tak dzieje, ale był zdania, że na ogół biorąc ta tak zwana „zasada Lamarcka“ odgrywa w przyrodzie dość podrzędną rolę i bynajmniej nie wystarcza do wytłómaczenia rozwoju gatunków, a już wcale nie nadaje się do wytłómaczenia rozwoju człowieka. Jeżeli zaś co do tej kwestyi przyznajemy słuszność Darwinowi, to ponownie staje przed nami pytanie: dlaczego młode jednostki, od tych samych rodziców pochodzące, od urodzenia już różnią się między sobą, tak że dobór naturalny i dobór płciowy jedne z nich dopuszcza do spłodzenia potomstwa, a drugie nie? Bo gdyby wszystkie młode jednostki jednego pokolenia były między sobą absolutnie równe (pominąwszy naturalnie różnice płci), to by nie było z czego wybierać. Skąd się więc biorą te różnicę indywidualne między jednostkami jednego pochodzenia, owe różnice, które rozstrzygają o tem, od kogo ma pochodzić przyszłe pokolenie a kto ma umrzeć bezdzietnie?

Na to się przedewszystkiem nasuwa taka odpowiedź: Wszak zazwyczaj (chociaż są pod tym względem wyjątki) każda nowa istota pochodzi od dwóch starszych istot różnej płci; zarodek młodego stworzenia powstaje przez połączenie się pewnej oderwanej cząsteczki ciała ojca z pewną oderwaną cząsteczką ciała matki. Otóż w dziecku mieszają się dziedziczne właściwości ojca z dziedzicznemi właściwościami matki, a mogą się mieszać w sposób odmienny u każdego dziecka zosobna. Aby dać prosty, łatwo zrozumiały przykład: jeśli ojciec ma płowe włosy i modre oczy, a matka czarne włosy i czarne oczy, to jedno z dzieci może mieć płowe włosy i czarne oczy, drugie czarne włosy i modre oczy, a trzecie i włosy i oczy jasno brązowe. Takie same różnice mogą także zachodzić co do właściwości stokroć ważniejszych, niż kolor włosów. Oto więc przyczyna owej rozmaitości jednostek jednego pochodzenia, która dopiero umożliwia i dobór naturalny i dobór płciowy!

Taka odpowiedź brzmi bardzo przekonywająco, a jednak stanowczo nie wystarcza. Albowiem tłómaczy ona tylko zjawianie się form pośrednich między formami już przedtem istniejącemi, nie zaś form zupełnie nowych. Tłómaczy dajmy na to, dlaczego dzieci owego małżeństwa, o którem wspomniałem, mogą być jedne więcej podobne do ojca blondyna, a drugie do matki brunetki; ale jeśli — co jest bardzo prawdopodobne — pierwotni ludzie wogóle wszyscy mieli czarne włosy i czarne oczy, to jakim sposobem zjawili się na ziemi pierwsi blondyni? A przecież o to przedewszystkiem chodzi, aby wytłómaczyć, jakim sposobem mogą się pojawiać młode jednostki o zgoła nowych, niebywałych własnościach. Bo bez tego rozwój roślin i zwierząt od najdawniejszych czasów aż do dzisiejszego dnia wciąż by się tylko w kółku kręcił; jednostki młodszego pokolenia okazywałyby różne mieszaniny i kombinacye właściwości jednostek starszego pokolenia, ale nigdy nie powstałoby nic zasadniczo nowego. Tą drogą więc zgoła nie potrafimy wytłómaczyć, dlaczego dzisiaj żyją na ziemi zupełnie inne rośliny i zwierzęta, niż w owych pradawnych czasach, o których nam świadczą skamieniałości.

A jednak tak jest! Jednak nie ulega najmniejszej wątpliwości że był czas, gdy żyły na ziemi przeróżne ptaki, i zwierzęta czworonożne podobne do dzisiejszych, i małpy, a człowieka nie było; a jeszcze dawniej był czas, kiedy morze było pełne ryb, a ziemia pełna owadów, a jednak na ziemi nie było jeszcze żadnych zwierząt czworonożnych, a w powietrzu jeszcze ani jednego ptaka. I nie ulega żadnej wątpliwości, że te istoty, które się później na ziemi pojawiły, pochodzą od takich, które już przed niemi na ziemi istniały. Ale jak się to działo? Tego tymczasem jeszcze nie wiemy. Dobór naturalny, dobór płciowy, zasada Lamarcka, wytwarzanie nowych kombinacyi przez kojarzenie się rodziców nierównych sobie — to wszystko razem jeszcze nie wystarcza. Wiemy dzisiaj o historyi życia na ziemi i o pochodzeniu człowieka już stokroć więcej, aniżeli wiedzieli nasi przodkowie sto lat temu; ale jeszcze nie wiemy wszystkiego.

To też uczeni bynajmniej nie próżnują na tem polu; właśnie ostatnimi laty przyrodnicy nagromadzili mnóstwo ciekawych spostrzeżeń o powstawaniu nowych odmian, szczególnie u roślin. A i dużo nowych, ciekawych skamieniałości znaleziono; między innemi na wyspie Jawie, w Indyach wschodnich, znaleziono kości istoty, która nawpół jeszcze małpą była, a nawpół człowiekiem. O tem wszystkiem na razie jeszcze wre dyskusya między przyrodnikami; może kiedy indziej o tem pomówimy.

Krakowiak.

PRZEDSIĘBIORSTWA PAŃSTWOWE I GMINNE

W REPUBLICE SOCYALISTYCZNEJ.

Jeden z najważniejszych punktów naszego programu stanowi stopniowe uspołecznienie ziemi, narzędzi produkcyi i środków komunikacyi. Znaczy to: oddanie ziemi, narzędzi produkcyi (tj. fabryk i warsztatów), i środków komunikacyi (kolei, statków wodnych, dróg itp.) na własność i pod zarząd państwa albo gminy. Ma się rozumieć, to państwo nasze i gmina nasza muszą być demokratyczne, tj. rządzić w nich musi cały lud, i lud ten musi mieć zupełną wolność i zapewnioną oświatę. Ale o tem mówią już inne punkty naszego programu.

Nie potrzebujemy dziś rozwodzić się nad tem, ile nieszczęść spada na ludzkość z powodu prywatnej własności ziemi, środków produkcyi i komunikacyi; ile klęsk sprawia dzisiejsza bezładna gospodarka, oparta tylko na ślepej pogoni za zyskiem i na konkurencyi pojedyńczych przedsiębiorców lub wielkich stowarzyszeń przedsiębiorców.

Dziś przedsiębiorcami i kierownikami produkcyi są przeważnie prywatne jednostki i prywatne stowarzyszenia, a państwo lub gmina tylko w rzadkich wypadkach. Prywatne jednostki prowadzą przedsiębiorstwa dla własnego zysku, stowarzyszenia — dla zysku swych członków (akcyonaryuszy itp.) Nie dbają one o dobro ani robotników, którzy w tych przedsiębiorstwach pracują, ani publiczności, której swe wyroby dostarczają. Przeciwnie, starają się jak najbardziej wyzyskać robotników, a ci tylko solidarną walką mogą się obronić przed zbytnim wyzyskiem. Starają się też obedrzeć przy sprzedaży publiczność, a ta prawie jedyną ochronę znajduje dziś w konkurencyi przedsiębiorców między sobą. Tam zaś, gdzie wytwarzanie jakiegoś towaru dostało się do rąk jednego jakiegoś przedsiębiorstwa, gdzie konkurencya nie istnieje, tam dla publiczności prawie żadnej ochrony niema, a i robotnicy są niemal bezsilni.

Niewiele lepiej jest i w dzisiejszej gospodarce państwowej lub gminnej. Niema co już mówić o państwach despotycznych lub prawie despotycznych. Dla nich przedsiębiorstwa przemysłowe (np. koleje państwowe) służą za sposób zdzierania dodatkowego podatku z ludności, i za sposób do trzymania niemal w zupełnej niewoli licznych rzesz robotników, zajętych w tych przedsiębiorstwach. Przytem, jeżeli walka z potężnem stowarzyszeniem kapitalistów, którzy dopiero dążą do zagarnięcia w swe ręce jakiejś całej gałęzi przemysłu, jest i dla publiczności i dla robotników tego przedsiębiorstwa niesłychanie trudna, to cóż dopiero w przedsiębiorstwach państwowych i gminnych, które przepisami prawa zabezpieczone

są przed wszelką konkurencyą, a wobec robotników występują w całym rynsztunku przemocy państwowej? Ma się rozumieć, w państwach wolnych, mniej lub więcej demokratycznych, jest już inaczej. Ludność, a zatem przedewszystkiem lud pracujący, który stanowi wszędzie olbrzymią większość ludności, może w państwach demokratycznych wywierać wpływ na kierunek wszystkich spraw, a więc i na gospodarkę w przedsiębiorstwach państwowych i gminnych. Może wywierać — to pewna, ale czy wywiera — to jednak inne pytanie. Weźmy np. taką Anglię i największe w niej przedsiębiorstwo państwowe: pocztę i telegraf. W urządzeniu tych instytucyi coprawda niewiele można by było zmienić na korzyść używającej je publiczności. Możnaby było np. znieść wszelkie opłaty za przesyłki pocztowe i za telegramy. Ale czy dziś wyszłoby to na korzyść ludu pracującego? Wszak to znaczyłoby: utrzymywać pocztę i telegraf wyłącznie z pieniądzy, zebranych podatkami. A podatki płaci cała ludność. Znaczyłoby to więc, że cała ludność utrzymywałaby te instytucye. Tymczasem zaś, kto z nich dziś najwięcej korzysta? Ma się rozumieć, najwięcej korzystają przedsiębiorcy, bo ci mają najwięcej interesów do załatwiania listownego lub telegraficznego i najwięcej towarów do przesyłania pocztą. Taka więc reforma wypadłaby dziś wyłącznie na korzyść prywatnych przedsiębiorców — kapitalistów. Ale są inne reformy, które lud angielski mógłby zaprowadzić w swem państwowem przedsiębiorstwie: na poczcie i telegrafie. Mógłby, wybierając do parlamentu odpowiednich posłów i wywierając na nich odpowiedni wpływ, postarać się o daleko lepsze warunki życia dla pracujących w tych instytucyach, zwłaszcza dla listonoszów i wogóle niższych urzędników. Sęk jednak w tem, że lud ten nie dość jest przejęty solidarnością wszystkich pracujących. A nawet trudno się dziwić, że np. robotnik fabryczny, sam cierpiąc nieraz straszną biedę, nie wiele dba o to, by jego brat — listonosz — miał się znacznie lepiej, niż on sam. Jednak już i dziś nie jedno się robi dla polepszenia doli urzędników pocztowych w Anglii. A im bardziej się będzie poprawiało ogólne położenie robotników angielskich, oraz im bardziej ci robotnicy będą rozumieli solidarność ludu pracującego, tem bardziej będą dbali o swych urzędników pocztowych i telegraficznych. To samo można powiedzieć o innych przedsiębiorstwach państwowych i gminnych w państwach demokratycznych. Im szybciej będzie postępowała w tych państwach socyalistyczna oświata ludności pracującej, tem snadniej owe przedsiębiorstwa będą stawały się socyalistycznemi. Dziś jednak ani z oświatą socyalistyczną proletaryatu, ani z zastosowaniem jej w życiu państwa jeszcze nigdzie dobrze nie stoi.

Państwo socyalistyczne właśnie różni się od kapitalistycznego nietylko tem, że w niem robotnicy wywierają przeważny wpływ na bieg spraw państwowych, bo to jest już dziś we wszystkich państwach demokratycznych. Ale w państwie socyalistycznem ci robotnicy będą socyalistami, tj. będą dobrze rozumieli swoje interesy i nie będą dawali się wodzić za nos kapitalistom. Będą oni kierowali sprawami społeczeństwa dla swego własnego należycie zrozumianego dobra. A ponieważ oni dziś stanowią olbrzymią większość ludności, z czasem

zaś w państwie socyalistycznem zniknąć musi wszelkie życie bez pracy, robotnicy więc będą stanowili już całą ludność, przeto rządy ich będą znaczyły po prostu rządy dla dobra całej ludności. Gospodarka we wszystkich przedsiębiorstwach państwowych i gminnych będzie prowadzona dla dobra ogółu.

Mówimy nieraz, że w państwie socyalistycznem ziemia i fabryki będą należały do pracujących. Jak widzimy, nie znaczy to wcale, by naprzykład jakaś fabryka należała do tych robotników, którzy w niej pracują. Przeciwnie, socyalistyczna fabryka jest własnością całego ogółu pracujących, całego państwa i od niego zależy jej zwierzchnie kierownictwo. Jednak tam, gdzie losami państwa będą kierowali oświeceni robotnicy, tam nie może być obawy, by robotnikami jakiejś poszczególnej fabryki rządzono despotycznie tak, jak dziś kapitalista rządzi w swej fabryce. Oświeceni robotnicy potrafią zachować swobodę wszędzie, gdzie to jest możliwe bez uszczerbku dla dobra ogólnego. A o nadwerężenie dobra ogółu przez samowolne postępowanie jakichś robotników w jakimś poszczególnym zakładzie — nie trzeba będzie zbytnio się obawiać. Gdzie każdy robotnik będzie się czuł współwłaścicielem całego majątku narodowego, tam też każdy będzie dbał o ten majątek. Zresztą juz dziś robotnicy w tej lub owej fabryce nieraz daleko lepiej rozumieją praktyczne porządki, potrzebne do jej prowadzenia, aniżeli jacyś ludzie postronni, chociażby ci byli najuczeńszymi specyalistami. Naturalnie takie zrozumienie tych spraw, to jest tak zwanej administracyi, będzie daleko powszechniejszem w przyszłości ze wzrostem powszechnej oświaty. Do ogólno-państwowego zarządu muszą więc w państwie socyalistycznem należeć tylko najważniejsze sprawy gospodarcze, tylko ogólny zwierzchni dozór i kierunek. Prawie zaś całe codzienne życie każdego zakładu będzie kierowane przez jego pracowników czy to za pomocą narad i uchwał na odpowiednich zebraniach czy za pomocą wybranych przez siebie urzędników. Tak właśnie należy rozumieć to, że w państwie socyalistycznem każde przedsiębiorstwo będzie republiką, rządzoną przez pracujących, nie zaś — jak dziś — monarchią, rządzoną przez kapitalistę.

Mówi się nieraz, że dążymy do zniesienia najemnictwa, pracy najemnej. Otóż dziś robotnik — chociaż wolny, nie zmuszany siłą zewnętrzną jak za czasów niewolnictwa lub pańszczyzny — musi jednak wynajmować się do pracy na pojedyńczego, kapitalistę albo dla zysku jakiegoś prywatnego stowarzyszenia kapitastów. Takie najemnictwo, ma się rozumieć, z czasem zniknie w państwie socyalistycznem. Ale przecie najemnikiem nazywamy dziś także każdego urzędnika państwowego, a to dlatego, że wynajmuje się on za pewną zapłatę i pracuje w zakładzie, który nie należy ani do niego osobiście, ani też wyłącznie do niego razem z jego najbliższymi kolegami, pracującymi w tym samym zakładzie. Takie najemnictwo pozostanie poniekąd i w państwie socyalistycznem. Po pierwsze przez długi, zapewne bardzo długi czas i w państwie socyalistycznem potrzebne będą pieniądze (znaczenie pieniędzy będzie tam pod wielu względami inne,

aniżeli dzisiaj, ale to kwestya, nad którą w tym artykule nie możemy się zastanawiać). Pomiędzy innemi i nadal przez bardzo długi czas w państwie socyalistycznem trzeba będzie wypłacać robotnikom zarobek pieniędzmi, tak samo jak dzisiejszym najemnikom. Po drugie i nadal — jak to już mówiliśmy — robotnik ani sam osobiście ani razem ze swymi kolegami, pracującymi w tym samym zakładzie, nie będzie właścicielem zakładu, gdyż ten należeć musi do całego państwa. Jednem słowem — słusznem jest, że socyalizm dąży do zniesienia dzisiejszej pracy najemnej; ale też słusznie można powiedzieć, że socyalizm dąży do rozszerzenia najemnictwa, do zrobienia wszystkich najemnikami (czyli urzędnikami) państwowymi. Jednak przytem należy pamiętać, że ci najemnicy będą mieli zapewniony wpływ na kierowanie swem państwem, że będą wszyscy mieli zgodne, solidarne interesy, i że swoją solidarność i wogóle swoje interesy będą dobrze rozumieli.

Przedewszystkiem wielka różnica między najemnictwem dzisiejszem a socyalistycznem zachodzić musi co do wysokości zapłaty za pracę. Dzisiaj kapitalista dąży do tego, by zapłacić robotnikowi jak najmniej. Właściwie idzie i iść mu musi tylko o to, by robotnik nie umarł z głodu i chłodu przy robocie, póki nie odhoduje jako tako dzieci, które swego ojca zastąpią w fabryce, skoro ten choć trochę się podstarzeje. Takie jest ogólne dążenie dzisiejszych porządków kapitalistycznych niezależnie od tego, czy jakiś pojedyńczy kapitalista ma złe lub dobre serce. Musi jednak i w państwie kapitalistycznem istnieć trochę lepsza zapłata dla niektórych rodzajów pracy, zwłaszcza dla takich, które wymagają dłuższej nauki, dłuższego terminu, to jest straty czasu bez zarobku. Musi w tych gałęziach pracy istnieć lepsza zapłata, żeby zachęcić robotników do brania się do nich. Ale ta różnica zapłaty niekoniecznie potrzebuje być zbyt wysoka; przeciwnie, porządki kapitalistyczne dążą stale do jej zmniejszenia. Wiemy coprawda, że i dziś tak zupełnie źle nie jest. Już dziś zapłata za pracę w wielu fachach nie tylko od natychmiastowej śmierci głodowej ochrania robotnika, ale to zawdzięczają robotnicy wyłącznie swym organizacyom i ciągłej, niezmordowanej walce, która pochłania wszędzie wiele ofiar. I tak być musi w państwie, którego cała gospodarka kierowaną jest wyłącznie względami na prywatne zyski kapitalistów.

Inaczej zaś być musi w państwie socyalistycznem Na pytanie, jak będzie wynagradzaną praca w państwie, do którego dążymy, nieraz się odpowiada, że socyalizm dąży do zapewnienia robotnikowi całego owocu jego pracy. Jednak i to powiedzenie należy właściwie rozumieć. Nie znaczy to bynajmniej, żeby np. każdy szewc miał zapewnioną całkowitą własność wszystkich butów, które wyrobi. Bo po pierwsze z ciągłym rozwojem pracy w wielkich zakładach przemysłowych, a zwłaszcza przy pracy na maszynach żaden przedmiot nie jest wyrobem jednego tylko robotnika, i nie sposób jest podzielić się tak, żeby każdy miał to, co wyrobił.

Po drugie i w socyalistycznem państwie oprócz potrzeb osobistych każdego, będą i potrzeby wspólne, że wezmę dla przykładu

chociażby drogi i szkoły. A zatem przy wypłacie np. szewcom państwo musi zatrzymać z ich zarobku odpowiednią część na wydatki drogowe i szkolne. Można więc powiedzieć, że wszelkie zarobki osobiste będą w państwie socyalistycznem obłożone podatkiem na cele wspólne. - Wreszcie już dziś kapitalista nie zużywa na swe zachcianki osobiste całego swego zysku. Część jego on obraca na utrzymanie i rozszerzenie produkcyi. Tak samo musi być i w państwie socyalistycznem. Ale w każdym razie robotnik w państwie socyalistycznem może być pewnym, że to, co ze swego zarobku nie dostanie do osobistego, prywatnego użytku, to dostanie pod postacią dróg, szkół i tym podobnych urządzeń do wspólnego użytku albo pod postacią ulepszonych środków produkcyi. Nie będzie pasożytów. Ściśle więc mówiąc, socyalizm dąży do zapewnienia całemu ludowi pracującemu wszystkich owoców jego pracy.

Powstaje teraz pytanie, jaki ma być podział tych owoców pracy w państwie socyalistycznem. Ogólną cechą naszego ruchu jest dążenie do równości. W państwowych naszych przedsiębiorstwach za równą w miarę sił pracę musi istnieć równa zapłata. Jeżeli się zdarzy między nami jakiś nadzwyczajny geniusz, to możemy być spokojni o to, że nie będzie on za swe usługi wymagał jakichś nadzwyczajnych zbytków. Bo po pierwsze dla prawdziwego geniusza największą roskosz stanowi właśnie ta praca, w której on może się objawiać. Naprzykład dla człowieka zdolnego do robienia wynalazków, prawdziwem nieszczęściem byłoby, gdyby mu nie pozwolono tych wynalazków dokonywać. Po drugie geniusz zwykle idzie w parze z szlachetnością, a zatem dla człowieka genialnego wielką nagrodę stanowi sama świadomość dobrodziejstwa, które ludzkości swoją pracą wyświadcza. Gdzie zaś to szlachetne uczucie nie wystarcza, tam jako bodziec zjawia się ambicya. Ludzkość zawsze będzie otaczała szczególnym szacunkiem jednostki genialne. I zadowolenie ambicyi zawsze było i będzie dla ludzi wyjątkowo uzdolnionych bodźcem do pracy daleko silniejszym, niż nadzieja na nadzwyczajną zapłatę pieniężną, to jest na jakąś nadzwyczajnie wytworną odzież, wyszukaną strawę i t. p.

Jednak są i zapewne zawsze pozostaną pewne rodzaje pracy, nie wymagające nadzwyczajnych zdolności, a więc nie dające zadowolenia ambicyi, ale za to wymagające nadzwyczajnego wydatku sił, nużące i wyczerpujące oraz wogóle z jakiejkolwiek przyczyny bardziej nieprzyjemne. Zresztą w wyborze rodzaju pracy pojedyńczy ludzie kierują się najrozmaitszymi względami osobistymi, nie zaś potrzebami społeczeństwa, których jednostka nie jest w stanie określić. Nieraz po prostu „owczy pęd" może pchać ludzi do pewnej gałęzi pracy z zaniedbaniem innych. Państwo lub gmina socyalistyczna nie może kierować swymi członkami despotycznie, musi zachować tę swobodę wyboru pracy, jaka już dziś istnieje. A dlatego trzeba jednak specyalnych zachęt do tych rodzajów produkcyi, które są z jakichkolwiek powodów niedostatecznie obsadzone przez robotników. Trzeba zatem w nich lepszej płacy za krótszą pracę. Takie względy muszą prowadzić jakby do naruszenia zasady równości. Ale na takie przywileje lub upośledze-

nia — zresztą napewno niezbyt znaczne — nikt nie będzie mógł się uskarżać. Bo wybór zajęcia — a więc korzystanie z przywilejów lepszej zapłaty — będzie zależało tylko od własnej woli każdej jednostki.

Takiemi być muszą zasady urządzenia przedsiębiorstw państwowych i gminnych w państwie socyalistycznem. Jak widzimy, opierają się one na doświadczeniach, zaczerpniętych już z dzisiejszego życia naszego.

Ale mówiliśmy tu nieraz o przedsiębiorstwach „państwowych“ i „gminnych“. Powstaje więc jedno jeszcze pytanie: jakie przedsiębiorstwa mają należeć do państwa a jakie do gminy?

Naturalnie, szczegółowej odpowiedzi na to pytanie dziś dać nie możemy. Wiadomo jednak każdemu, że im większe jest przedsiębiorstwo, tem lepiej, bo wyroby jego wypadają taniej. Ma się rozumieć więc, że wogóle przedsiębiorstwo państwowe, jako większe, jest lepszem od gminnego. Oprócz tego nie powinniśmy dopuścić do tego, aby gminy w państwie socyalistycznem wykierowały się na jakieś osobne towarzystwa, które by zaczęły między sobą walkę konkurencyjną na wzór np. dzisiejszych towarzystw akcyjnych. Ale z drugiej strony nikt nie pomyśli np. o założeniu piekarni państwowej chociażby dlatego, że prawie wszyscy lubimy chleb świeży, który musi być wypiekany jak najbliżej mieszkania spożywców. Piekarnie zatem muszą być przedsiębiorstwami gminnemi. Takich przykładów można byłoby znaleść więcej. A również do gminy muszą należeć gazownie itp., oświetlające tylko jedno miasto, środki komunikacyi (tramwaje itp.) wewnątrz jednego miasta itd.

Wogóle zakres uspołecznienia produkcyi i środki zmierzające do tego celu musimy rozpatrzeć w osobnym artykule.

B. A. J.